

WISŁA

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 3. II. 1952 r.

Nr 5 (339)

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

POLSKA Rzeczpospolita Ludowa jest republiką ludu pracującego. Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych postępowych tradycji Narodu Polskiego i urzeczywistnia idee wyzwolenie polskiej mas pracujących.

Polski lud pracujący pod przewodem bohaterskiej klasy robotniczej, opierając się na sojuszu robotniczo-chłopskim walczył dziesiątki lat o wyzwolenie z niewoli narodowej, narzuconej przez pruskich, austriackich i rosyjskich zaborców-kolonizatorów, tak samo jak walczył o zniesienie wyzysku polskiego kapitalistów i obszarników.

W okresie okupacji Naród Polski toczył nieustępliwą, bohaterską walkę z krwawym najazdem hitlerowskim. Historyczne zwycięstwo Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nad faszyzmem wyzwoliło ziemie polskie, umożliwiło polskiemu ludowi pracującemu zdoby-

cie władzy i stworzyło warunki narodowego odrodzenia Polski w nowych, sprawiedliwych granicach. Na wieczne czasy powróciły do Polski Ziemię Odzyskane.

Wcielając w życie wiekopomne wskazania Manifestu z dnia 22 lipca 1944 r. i rozwijając jego zasady programowe, władza ludowa — dzięki ofiarnym i twórczym wysiłkom polskiego ludu pracującego, w walce z zacieklą oporem rozbitków starego ustroju obszarniczo-kapitalistycznego — dokonała wielkich przeobrażeń społecznych. W wyniku rewolucyjnych walk i przemian obalona została władza kapitalistów i obszarników, utrwalono się państwo demokracji ludowej, kształtuje się i umacnia nowy ustrój społeczny, odpowiadający interesom i dążeniom najszerszych mas ludowych.

Zasady prawne tego ustroju usta-

nawia Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Podstawę obecnej władzy ludowej w Polsce stanowi sojusz klasy robotniczej z chłopstwem pracującym. W sojuszu tym rola kierownicza należy do klasy robotniczej, jako przodującej klasy społecznej, opierającej się na rewolucyjnym dorobku polskiego i między-narodowego ruchu robotniczego, na historycznych doświadczeniach zwycięskiego budownictwa socjalistycznego w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, pierwszym państwie robotników i chłopów.

Wypełniając wolę Narodu Polskiego i zgodnie ze swym powołaniem — Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej uchwała uroczyste niniejszą Konstytucję jako ustawę zasadniczą, którą Naród Polski i wszystkie organy władzy polskiego ludu pracującego kierować się winny w celu:

umacniania państwa ludowego jako podstawowej siły, zapewnienia jej najpełniejszego rozkwitu Narodu Polskiego, jego niepodległości i suwerenności,

przyspieszania rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Ojczyzny oraz wzrostu jej sił,

pogłębiania uczuć patriotycznych, jednności i zwartości Narodu Polskiego w walce o dalsze polepszenie stosunków społecznych, o całkowite zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, o urzeczywistnienie wielkich idei socjalizmu,

zacieśniania przyjaźni i współpracy między narodami, opartych na sojuszu i braterstwie, które łączą dziś Naród Polski z milijonami pokrewnymi narodami świata w dążeniu do wspólnego celu: uniemożliwienia agresji i utrwalenia pokoju światowego.

(Wstęp do Projektu Konstytucji)

FRANCISZEK PUŁDOWSKI

PARTIA

(Wspomnienie korespondenta)

„Potrafiła po wyzwoleniu ustanowić władzę ludową — która ziemię oddała na własność chłopom”.

ZACINAŁ wiatr. Wozy na drogach podskakiwały, dudniąc głucho, cienki lodzik na kałużach pękał pod kołami, wydając ostre dźwięki tuczonego szkła. Na polach śnieg prawie już znikł, gdzieś niedaleko tylko na szarym tle roli białe łąki. Był początek marca 1945 r.

Niedaleko od wsi na polu należącym do Jarczewskiego folwarku widać było kilkunastu ludzi. Dwóch trzymało w rękach drewniane koziołki, dwóch innych chodziło z długą stalową taśmą. Trzech jeszcze obuchami siekier wbiło w zmarznątą ziemię drewniane kolki. Reszta zaś to posuwała się za mierzycami, to przystawała przy wbiających paliki, czasami któryś odchodził od gromadki, odmierzał szeroki krokami szmat ziemi i wracał. Co głośniejsze okrzyki i słowa słychać było we wsi, wiatr bowiem wiał w jej stronę.

Nie było człowieka, który by nie wiedział, co się dzieje na folwarcznych polach.

— Przyjechali z miasta, z PPR-u i rozmiarzają, będą rozdawać ziemię — powtarzano we wsi to z gwałtowną, to z tłumioną, niepewną jeszcze swego radością. Bo więksi gospodarze, słysząc z jakim zapalem o parcelacji gadają dworacy i wyrobnicy, kiwali ostrzegawczo głowami — cieszcie się, cieszcie! A wiecie, czy teraz łakomiąc się na dziedzicową ziemię nie będziecie nią jeszcze ryzygować?

Mimo to większość chłopów Jarczewowa wygłębiała na pole, aby pomóc w robocie pełnomocnikom, przysłanym z miasta.

W Jarczewowie było ich trzech, towarzysze: Ziółkowski, Janicki i Molenda.

Już tydzień mija jak zostali wydelegowani przez Powiatowy Komitet PPR w teren. Po rozparcelowaniu sąsiedniego Suradowa przysłał teraz krajać ziemię na Jarczewowie.

Robotą kieruje tow. Ziółkowski. — Trzymajcie, Janicki taśmę przy tym paliku, a wy Grabiec, poskoczcie z drugim jej końcem prosto na miedzę — tu wskazał na odległą o jakie 40 m. bruzdę — tylko żwawo lećcie, bo to wasza ziemia.

Starszy, może po pięćdziesiątce chłop wysunął się z gromadki ludzi na czoło, porwał koniec taśmy i raz-no ruszył we wskazanym kierunku. Na twarzy rozlał mu się uśmiech.

— Moja ziemia — zawołał, nie mogąc ukryć radości.

— Dobra trafiła mu ziemia — odezwał się ktoś z asystujących przy mierzeniu chłopów.

— Tu wszystka prawie dobra. Dziedzicowi przecież najlepsze buraki się rozdzieli.

— Od tej miedzy w prawo — mówił teraz Ziółkowski — pójdzie z koziołkiem Wawrzon. Odmierzaj po sam laszek. Tylko niech dobrze liczy.

Chłop wziął koziołek i skierował się w stronę miedzy, przy której stał Grabiec, potem od niego skręcił nagle w prawo, wywijając już trzymanym w rękę koziołkiem. Mierzył.

Wszystcy wpatrzyli się w jego postać. Oddał się szybko. Był coraz dalej od nich a coraz bliżej lasku. Ale z oczu nigdy by im nie znikł. Do lasu tylko pół kilometra. Nagle zniknął. Zakrył go czerwonorodawy maszyn czołgu, który z lufą zlaną, jak drzewo w czas burzy, sterzał wśród pola, widno niedawno przeszedł tędy wojny.

Zdawało się, że na poczerwieniałe od mrozu twarze chłopów przez chwilę padł cień zaspiania. Odruchowo zwrócili wzrok na towarzysza Ziółkowskiego i Molendę. Ten zaśmiał się szeroko i machnął ręką.

— Jest wyzwolenie! Jest Władza Ludowa! Jest Partia!

II.

Wieczorem w pałacu Jarczewskim odbywało się zebranie organizacyjne komórki PPR-u.

Obszerna sala w bocznym skrzydle pałacu oświetlały tylko dwie żółtawym światłem płonące świece.

Wiatr, który wdzierał się do sali przez wybitą szybę chwał płomykami świec. Cienie poruszały się na pięknie wymalowanych ścianach i schodziły na zakutane w kołuchy i kapoty postacie chłopów. Dym z machorki do reszty zamazywał rysy twarzy.

Ciszę przerywał tylko z rzadka kaszel, którego napływu ten i ów nie mógł powstrzymać.

— Pamiętacie — kończył tow. Molenda — że Polska Partia Robotnicza daje wam ziemię! Pamiętajcie, że bronić jej macie razem z klasą robotniczą!

— My byśmy chcieli wstąpić do tej Partii.

— Nasza Partia jest partią robotników i chłopów. Jej szeregi grupują najofiarniejszych, najbardziej oddanych sprawie demokracji. Wśród was są godni przyjeźdźcy do PPR, dlatego utworzymy tu komórkę. Przerwał i pochylił się w stronę siedzącego z boku stołu Ziółkowskiego. — Dajcie no deklarację.

Ziółkowski wyjął plik papierów ze zniszczonej ceratowej teczki i podał Molendzie.

3-morgowy chłop z Jarczewowa — Gęsiński, przed wojną jeszcze należał do KPP, teraz podpisywał niezgrabnie swoje nazwisko pod słowami: „proszę o przyjęcie mnie w szeregi PPR”. Wstępował do tej samej Partii, w której w latach międzywojennych walczył z obszarnikami i granatową policją. Dziś miał w jej szeregach walczyć o całkowite zwycięstwo ludu pracującego. Kiedy Molenda zapytał, czy mają jakie zastrzeżenia przeciwko przyjęciu Gęsińskiego do PPR, chłop odwrócił głowę — Nie ma zastrzeżeń! Gęsiński stał przy stole uśmiechnięty i patrzył długo w twarze siedzących chłopów. Potem pomału odszedł od stołu i usiadł między nimi. Z kolei podpisywali: Rumiński — czynny działacz Związku Robotników Rolnych przed wojną, fernal z Jarczewowa, Ambrozjak — członek przedwojennej PPS, Jedruszak — dwudziestoletni chłop, który przed tym nigdzie nie należał, ale któremu zdrowy instynkt klasowy mówił, że ta Partia, do której dziś wstępuje, jest jego partią. Podchodzili i podpisywali.

Sześciu papierów i raz po raz brzmiały okrzyki chłopów w odpowiedzi na pytanie Molendy, czy nie mają zastrzeżeń. Nie ma, nie ma! Tylko wtedy, gdy stanęła kandydatura Piątka, przedwojennego soltysa, który wysługiwał sanacyjnemu wójtowi z Jachcina i był kumtrem gminnego komendanta policji granatowej, chłopów kategorię przeciwników.

Zatrzymali się również przy kandydaturze Antka Mroza. Przed wojną kradł i był karany za kradzieże.

Młody, około trzydziestki chłop nieporadnie się tłumaczył.

— Kradłem? — to z bdy. Poszło się do lasu, czy z rei nabrało kartofli dla ratowania życia. Teraz nie potrzebuję przecie kraść. Zamilkł i patrzył wokół.

Ktoś z tyłu rzucił. Przyjść go, nie jest przecież wrogiem.

— Przyjść! — Odezwało się więcej głosów. Przyjeżdż.

Świece dopalały się, kapiącą stępną potworzyła na stole nieforemne figury. Zastanawiali się teraz kogo wybrać sekretarzem nowej komórki. Wreszcie ktoś podał Gęsińskiego. Przyjeżdż jednogłośnie.

Chłopi pootulali się mocniej w kołuchy i skulił na krzesłach. Zimno dokończyło. W nieopalanym od 3-ich miesięcy sali wraz z dymem z machorki unosiła się para oddechów chłopów.

— Skończymy już dziś, jutro spotykamy się na robocie w polu — powiedział Molenda — a czeka nas również na wsi praca i... tu przerwał na chwilę a potem mocno, z natężeniem dokończył — i walka towarzysze! Wtedy wstał tow. Ziółkowski i zaintonował Międzynarodówkę. Chłopi ciągnęli zrazu nieporadnie, ale melodia raz zbudzona, odbijając się od ścian obszarzniczego pałacu rosła i brzmiała coraz potężniej, słychać ją było na całej wsi.

Franciszek Pułdowski

Pierwsze wypowiedzi

Kiedy przeczytałem na głos z gazety projekt Konstytucji, a było akurat u mnie w domu kilku sąsiadów, powiada wtedy Pawłowski — Merceli, wyciągnijcie no wasze medale i krzyże. Wstałem i z kufra dobyłem. Na obrusie leżała gazeta z wielkim tytułem „Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Na ten to dokument poczęły padać jeden po drugim medale i krzyże. Razem sześć. Jeden za Warszawę, drugi za Odrę i Nysę, trzeci, srebrny, za Łabę, czwarty, Grunwaldu — za Berlin, piąty — za Zwycięstwo, a szósty — srebrny Krzyż Zasługi — tej jesieni, za „przyspieszanie wzrostu sił naszej Ojczyzny”, jak głosi Konstytucja.

Szedłem z ziemi radzieckiej do polskiej w Pierwszej Armii Wojska Polskiego, w II-iej Lywizji, szedłem od roku 1943 przez Lenino aż do Bugu, forsowałem Bug, forsowałem Putawy, forsowałem Wisłę, Pragę, Warszawę, szedłem dalej, forsowałem wał pomorski, Odrę i Nysę, zdobywałem Berlin aż się oparłem na Łabie i koniec, dopiero nastął wtedy wojny, koniec udręczenia ludu i narodu polskiego. Koniec niewoli innych narodów i początek nowego życia w wielu krajach.

Taką przeszedłem drogę i na niej to, życia nie szczędząc, otrzymałem te Krzyże. Nie dostałem ich od magnatów i burżujów, jak moi ojciec, co medalem kopał grób swojemu dziecku. Dostałem Krzyże w wojsku, na polach — bitew z przykazu Prezydenta — robotnika, od władzy robotniczej — chłopskiej. Znaczą się od takich, jak ja, z ludu polskiego. Znaczą się za sprawę ludu, który jest krwią i kością narodu.

Ja tu wam piszę nie o moich zasługach, ale o wielkiej historii, w której prosty, jak ja chłop ma siłę, jakiej nigdy dotąd nie miał. Mam dzisiaj 48 lat, urodziłem się w roku 1904. A przez 40 lat kimże byłem i co znać? W 1913 r. ojciec mój po latach pracy i odkłaniania zmógł się, aby wziąć na kolonii Białaczewskiej na spłatę 12 ha lichej ziemi. Zasiadł na nim słoneczko? Zasiadł widmo — na pohybel! I jeszcze mi głupie chłopcy własnymi rękami pracowali na ten pohybel. Kiedy ojciec zmarł w 1920 r., obszar został podzielony między pięciu braci. Po 2 ha na każdego. W 1924 r. powołano mnie do wojska, kiedy wróciłem, już ziemi nie miałem. Właściciel całej kolonii, adwokat Kabacznik zjadł 15 gospodarzy przez Sąd Okręgowy w Równym z gospodarstw, na eksmisję posłaliśmy i jeszcze po 520 zł kosztów każdy miał opłacić. Procesowaliśmy się trzy lata. W 1929 r. w Lublinie pozwolono nam wrócić na ziemię, ale znów ja od początku spłacać, chociaż ojciec i my spłacaliśmy ją już 10 lat.

Upłynęło nowych 10 lat, i jeszcze tych niedźnych 2 ha nie wypłaciłem. Nie każdy chłop miał takiego adwokata Kabacznika, jak ja na swoim grzbiecie, ale miał innego, miał wielu naraz, bo ich rządy obszarników i kapitalistów rodziły, utrzymywały i rozbustwiały. Cóżby za te 40 lat mógł powiedzieć o sobie albo ludzi o mnie? Urczyłem się, aby zdychać. Walczyłem po ciemku o swoje, aby żyć i drża-

łem, że już mnie, a moim dzieciom to na pewno, nie pozwolą żyć. Słusznie, zabieżony i spodzany, oto ja przez 40 lat.

W 1939 r. plunąłem na ziemię, pojechałem w głąb Związku Radzieckiego, pracowałem tam, na spławie drzewa i ocy mi się pomału otwierały.

A teraz sami powiecie, co warte moje ostatnie 8 lat. Dlatego sąsiedzi chcieli popatrzeć na medale i krzyże. Na te znaki wielkiej drogi, jaką przebył naród polski i chłop polski. Na tych medalach i krzyżach widać, jak to, chłop polski szedł i idzie „za naszą i waszą wolność”, bo szedł w teraźniejszej epoce u boku robotników radzieckich, u boku swoich polskich robotników, bo się kieruje ich magrością, ich przywództwem, a nie masą lepszego w walce z wyzyskiwaczami tego świata, czy w knajpie, czy tam, gdzie oni jeszcze panują. Nie masz lepszego w stworzeniu i umocnieniu nowego ustroju, jaki odpowiada najszerszym masom ludowym.

Tej jesieni nasza gromada wczesnie i przodująco zakończyła skup zboża i spłaty należności finansowych. Jestem soltysiem w naszym Przystroiniu na Ziemiach Odzyskanych. I powiem uczciwie, ten ostatni Krzyż, to już dzieło z gromadą. To już nie jak na polu bitwy moja własna zasługa, to nasza wspólna. Każdy tu się odznaczył we wspólnym, jak mówi Konstytucja „umacnianiu zdobyczy polskiego ludu pracującego miast i wsi”, „przyspieszaniu wzrostu sił naszej Ojczyzny”.

Przed laty 15-tu nas gospodarzy ze wsi przegnano w świat na zatrzacone, zrabowano i pohanbiono. A jakąż my dzisiaj potężną czujemy w sobie siłę, gdy Polska jest republiką ludu pracującego!

Marceli Sokalski
Przystroin, gm. Łagiewniki
pow. Dzierżoniów.

*

Przez lat 60 nie trzymałem w ręku żadnej książki. Nie umiałem ani czytać ani pisać. Dziś mam lat 63. Trzy lata wstecz na kursie wieczornym zaczęło opadać bielmo z moich oczu. Moim teraz życzeniem jest, aby tę Konstytucję, co ja nam w gazetach pokazało, w książczkę małą a w twardej okładkach uformować. Bo z tą książczką, nie chciałbym się roztawać do ostatniego dnia mojego żywota. W kapocie będę ją nosił w pole, na wyjazd i do gromady.

Człowieka nie boli i nie cieszy tylko to, co on sam przeszedł. Boli go to, że musiał znieść krzywdy, bo było go prawo krzywdy, porządek krzywdy.

Nasza Konstytucja powiada, że obalona została władza kapitalistów i obszarników, taki jest fundament naszego nowego życia. Ja jestem stary już, chłop. Dziesiątki lat zbiegły mi na folwarcznej służbie. Przemierzyłem za pracą po dworach całą prawie Polskę. Widziałem tyśiące fernali i gotów bym przysiąc, że gdyby każdemu z tych, których

poznałem w pracy, powiedzieć: polepszę ci los, ale władza będzie jak była, kapitalistów i obszarników — żegnaj radości, z powrotem przydusiłaby go trwoga.

I ja przez lat kilka byłem robotnikiem w fabryce łózek w Warszawie, jeszcze przed rokiem 18-ym. Potem, kiedy dla takich jak ja porędkowanych została tylko dola bandosa, kiedy w tej doli obieżywaliśmy z kossą nie było nawet warunków i prawa na żeniaczek, wracalem myślami jedynej nadziei do klasy robotniczej. Lud sam musi zrzucić kajdany, ale lud wiejski poprowadzić musi robotnik.

Kiedy czytałem o prawach obywateli, o prawach znaczy się, chłopu i robotnika, strzamać nie mogłem. Nie mam dzieci, moi kochani, tak późno się ożeniłem (nie ze swej winy), że dzieci już nie przybyło. A te prawa obywatela w Rzeczypospolitej Ludowej, to dla naszych dzieci i młodzieży nowy świat. Od urodzenia nowy. I każdy chyba z nas starych, tak myślę. Kawałek życia własnego przeżyjemy jeszcze w prawdziwej wolności człowieka i narodu. Ale za tamten smutak życia w poniewierce, krzywdzie i niedzy wyrównamy sobie szczęściem naszych dzieci. One w całości będą miały inne życie. I tu jestem cobyście stratin, ani dzieci ani wnuków.

Ale, niech tam...

Dla innych dzieci, dla robotniczych grzyziem się przed jesiennym siewem w ub. roku. Susza była na polu, przysyły płon wydawał się za przepaścią. A ja prowadzę na 5 ha gospodarstwo planowe. Gdy się rok zaczyna nowy, układam w długie zimowe wieczory plan orki na cały rok, gdzie, w jakim czasie i jak mam orać, następnie jakie dobrać odmiany ziemniaków, jak zastosować nawozy. Potem obliczam ile mam zasiać zboża, jaką powinieniem osiągnąć wydajność, ile wreszcie wymięć, oraz ile będę mógł oddać państwu dla rozwoju naszej robotniczo-chłopskiej ojczyzny. Wszystko to miałem wyplanowane, a tu susza na jesieni. Rozbije mój plan? Plan, na który czekała dzieci robotnicze? Gryziem się i myślałem, aż wymyśliłem. Namoczyłem żyta, pilnie strzegąc, aby nie przemoczyć i wysiałem. Wykiełkowało, a po miesiącu urosło rozkoszne. Na moje, na nasze, i naszych dzieci szczęście!

Antoni Mroczek
Ławsk, woj. białostockie.

*

Kiedy czytałem Konstytucję, zastanowiłem się nad tym, jakie to we mnie przeobrażenia zatwierdza Konstytucja.

W jesieni 1944 r., kiedy soltys powiedział na zebraniu, że Armia Radziecka potrzebuje posiłku, nie namyślając się, ofiarowałem jedną moją krowę, za którą zaraz zapłacono. Nie zważałem na to, że krowa będzie potrzebna w odbudowie spalonych budynków. Odbudowa — pomyślałem — będzie potem, a wroga trzeba pędzić zaraz.

Wierzę i ja się przychyliłem do walki z krwawym najazdem hitlerowskim i ja się przychyliłem do zacieśnienia przyjaźni z narodem, który wybaczył nam z niewoli, a w ten spo-

Szymon Musko
Dubno, pow. Bielski Podlaski.

ZOFIA LORENTZ

S A D

Frgment powieści z dziejów powstańca styczniowego pt. „Poloki”

DWÓR Zagórze leżał nie opodal traktu. Wyglądem swym nie przypominał przeciętnego odzoru szlacheckiego, okolonego zazwyczaj sadem i budynkami gospodarskimi. Był wielki, pętrowy, nieforemny, o dziedzińcu wewnętrznym szczelnie zamkniętym dwiema bramami i wysokim murem. Stojąc na bezdrzewnej, wprost nagiej płaszczyźnie z dala od wsi, sprawiał raczej wrażenie ponurego więzienia lub ascetycznego klasztoru.

— Dziś tu jakiś mieszkać musi — rzekł któryś z powstańców. — Jakby na potwierdzenie tych słów, w tej samej chwili dziwny zaszedł wypadek: niewielka już przestrzeń dziedzińca powstańców od dworu, gdy brama wjazdowa otworzyła się nagle i po chwili bryczka zaprzęgnięta w dwa tegie konie, ktoś tam na wprost nich wyjechał.

Wyjechał, lecz zaraz zawrócił i wpadł z powrotem na podwórze. Powstańcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo, którzyś zagwizdał przeciągle, ale naczelnik rzekł głośno, by wszyscy słyszeli:

— Nic w tym dziwnego, chłopcy, musieli być tam Lemański. Zobaczył, że jedzie ktoś w gościnę, więc wrócił, żeby nas go gospodarzku przyjąć. W szeregach rozległ się śmiech, ale porucznik Maźniewski, człek łagodny jak baranek, chociaż obłąkany wzrostu, nie lubiący żadnych zadrzań pochylał się do Oksińskiego i rzekł półgłosem:

— Józek, nie jedźmy tam. — Dlaczego? — Oksiński zwrócił się na siódło i spojrzał ze zdziwieniem na porucznika.

— Ponuro tu jakiś. Nic nas w tych progach dobrego nie spotka... — Wiesz, przecież, że nie w gościnę jadę — tu Oksiński uśmiechnął się z lekką drwiną — mówił mi Cieszkowski, że Lemański ma broń. — To dlaczego Cieszkowski jej nie wziął?

— Nie po broń do niego przyszedł, a po podatek na Rząd Narodowy.

— Ale mu Lemański tego podatku odmówił.

— Ano odmówił. — Więc jeśli podatek odmówił, to i broń nie da.

— To sami weźmiemy — rzekł ostro Oksiński, a zwracając się do podoficera Rybickiego krzyknął: — A otwórzcie tam szerzej bramę, skoro się sam gospodarz nie kwapi!

Kilku powstańców skoczyło ku wrotom i za chwilę oddział wkroczył na wielkie i zupełnie puste podwórze...

Panowała tu martwa cisza, nie przerywana nawet szepczeniem psa. Opuśczone bryczka stała u podjazdu. Dwa tegie siwki były niecierpliwie kopytami, odwracając się, jakby w poszukiwaniu woznicy.

— Drzwi wejściowe zaparte! — krzyknął Rybicki.

— Zajść od tyłu — zakomenderował Oksiński, schodząc z konia. Kilkunastu powstańców, z podoficerem Rybickim, rzuciło się, by wykonać rozkaz, reszta została, oglądając się uważnie dookoła.

— Żywego ducha — rzekł któryś z pewnym niepokojem w głosie i spojrzał pytająco na naczelnika.

Ale ten zapalał flegmatycznie fajeczkę, zdając się nie słyszeć uwagi żołnierza.

— Mówili baby w Gromadzie, że Lemański wywiózł rodzinę do Prus. Tam ma siostrę rodzoną, za Milca wydaną.

— Familiję mógł wywieźć, — odrzekł na to inny — a czeleź gdzie?

— Nic innego nie jest, tylko czeleź odprawia, a sam co tylko wyjeżdża.

— I tak by pałac ostawił na boku tylko opiece?

— Może go czeleź opuściła? — wrócił jeszcze inny, lecz nikt nie popieszył się odpowiedzieć, gdyż w tej chwili za węgla domu wybiegł Rybicki. Był czymś w sposób widoczny wzburzony.

— Co tam jest? — spytał ostro Oksiński.

— Tylnie wejście także zamknięte — meldował podoficer — pwnica za to otwarta i tam, w tej pwnicy, obywatelu Naczelniku...

— W pwnicy, obywatelu Naczelniku, w pwnicy! — przerwał mu wołanie nadbiegających z domu żołnierzy.

— Coż w tej pwnicy, do licha — zniecierpliwili się Oksiński.

— Człowiek, uwiązany człowiek! — Żyw?

— Żyw, ale skatowany okrutnie... — W ranach cały i w strupach, na pół nag!

— W reszcie jakichś łachmanów... — Co mówili?

— Belkocze zaledwie. O litość prosi, by go więcej nie bić. W dać myśli, żeśmy ludzie Lemańskiego.

— Dawajcie go tu. — Nie ujdzie. Przynieścieby trzeba — Przynieście. Niech tam dwóch karabinów złożyć...

Złożyli i jak na noszach, po chwili przynieśli: strzęp ludzki, w ranach i guzach, na pół zdiociały, pokory jakichś psim skomleniem pokory... Wśród powstańców zapanało milczenie. Oksiński zgasił

fajeczkę i nieznacznie otarł pot z czoła.

— Wiedziecie mu wódkę do gardła — rzekł cichym, zduszonym głosem. Któryś z powstańców poskoczył z odkorkowaną już manierką i wlał tęgi lik wódkę w zeschnięte gardło skatowanego. Ktoś inny podał mu plaster wędzonej słoniny.

Nędzarz porwał ją zwierzęcym niemal chwytem i pożył w mgnieniu oka, błagając oczyma o jeszcze.

— Kto cię uwieźli? — spytał Oksiński.

Chłop zrozumiał nareszcie, że nie jest wśród wrogów. Mówienie sprawiło mu jednak wielką trudność. Poruszył wprawdzie wargami, ale głosu wydobyć nie zdołał.

Oksiński pochylał się nad leżącym, lecz cofnął się zaraz, rażony straszącym smrodem, jaki bił od nędzarza.

— Zali my w XIX-m wieku żyjemy? — rzekł do porucznika Maźniewskiego, który stał obok, nie mniej od niego wstrząśnięty.

— Mówi, że dziecko — wykrzyknął tymczasem Rybicki — ja go rozumiem. Z Gromadzie jest.

Ale Oksiński nie pytał o więcej. — Weźmiecie go we czterech — rzekł sucho do żołnierzy — i odnieście do wsi. Rybicki, pójźcie z nimi — zwrócił się do podoficera — i sprowadźcie mi soltysa i paru poważniejszych gospodarzy.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PIERWSZYM zajęciem do jakiego przydzielono młodego Daniela, w Piotrkowskiej hucie „Hortensji” było na pozór nie trudne, ba, nawet zabawne, bieganie tam i z powrotem. — No — pomyślał, obserwując półnagiego Józka — taką pracę można łatwo wytrzymać. Ba, nawet! Przecież nogi mam zdrowe.

— Józek — zawołał wasaty majster Dura — pokaż no temu nowemu, jak mi ma szkło na banki podawać.



Józek podciągnął krótkie spodnie na spocynym brzuchu, przetrząsł zaczerwienione powieki i kiwnął głową na nowicjusza, stojącego sztywno przy fotelu majstra.

— Na, masz, trzymaj nosidło. Wiesz, że tam piec? Ogień jest w nim pali niechli, nie przymierzaj jak w piekło. Kocioł tam stoi z płynnym szkłem. O, tu jest otwór w piecu.

Tędy wsuniesz nosidło, capiesz trochę płynnego szkła i hulaj do majstra przedko, żeby po drodze nie stwardniało.

— Słuchajno — szepnął Danielak — ale ja wcale nie widzę tam żadnego kotła.

— Nie potrzebujesz kotła widzieć! Masz tu takie „europejskie” urządzenie, coś jakby lustro. Uważaj! Wsuwam nosidło. Jego koniec odbija się tam w tym niby lustrze a i powierzchnia płynnego szkła równie się odbija. Wiesz?

— Widzę — zachwycił się zdumionym Danielak.

— A co? Zdziwiłeś się? Pewno, że to nie to, co na wsi kartofle kopać. Ho, ho! Tu różne rzeczy poznasz. Uważaj dalej. Kiedy w tym hutniczym lustrze zobaczysz, że koniec nosidła styka się z powierzchnią płynnego szkła, wtedy zanurz lekko i co sił masz w nogach ganiaj do starego.

Tak zaczęła się praca młodego Daniela. Praca podobna wysiłkowi konia kieratowego, który nie potrzebuje myśleć, zastanawiać się, ulepszać. Ma tylko biegać. Danielak biegał. Zanurzał koniec pałki w kotle, nabierał trochę płynnego szkła, ostrożnie wyciągał z pieca, potem przyskakiwał do majstra, podając mu dużą kropkę. Czasem chybiał, kropka spadała przedwcześnie, stygła w powietrzu i przylepiała się do podłogi albo brzegu fotela przybierając kształt szklanej iglicy. Danielak pocił się z gorąca i wysiłku pragnął donieść kropkę całą i płynną.

Stary dawał sobie świetnie radę z tą niebezpieczną porcją. Siedział przez dzień cały na poręczastym fotelu wsparty łokciami tak, żeby móc manewrować dłońmi bez nadmiernego zmęczenia. Miał przed sobą stancję z dwiema foremkami obracającą się na osi. Danielak napinał

karabiny złożyć...

Złożyli i jak na noszach, po chwili przynieśli: strzęp ludzki, w ranach i guzach, na pół zdiociały, pokory jakichś psim skomleniem pokory... Wśród powstańców zapanało milczenie. Oksiński zgasił

fajeczkę i nieznacznie otarł pot z czoła.

— Wiedziecie mu wódkę do gardła — rzekł cichym, zduszonym głosem. Któryś z powstańców poskoczył z odkorkowaną już manierką i wlał tęgi lik wódkę w zeschnięte gardło skatowanego. Ktoś inny podał mu plaster wędzonej słoniny.

Nędzarz porwał ją zwierzęcym niemal chwytem i pożył w mgnieniu oka, błagając oczyma o jeszcze.

— Kto cię uwieźli? — spytał Oksiński.

Chłop zrozumiał nareszcie, że nie jest wśród wrogów. Mówienie sprawiło mu jednak wielką trudność. Poruszył wprawdzie wargami, ale głosu wydobyć nie zdołał.

Oksiński pochylał się nad leżącym, lecz cofnął się zaraz, rażony straszącym smrodem, jaki bił od nędzarza.

— Zali my w XIX-m wieku żyjemy? — rzekł do porucznika Maźniewskiego, który stał obok, nie mniej od niego wstrząśnięty.

— Mówi, że dziecko — wykrzyknął tymczasem Rybicki — ja go rozumiem. Z Gromadzie jest.

Powiecie im, że odbędzie się tu sąd. Sąd nad dziećmi.

Wśród powstańców rozszedł się szmer uznania. Z drugiego plutonu wystąpił zaraz czterech co najmłodszych na spełnienie rozkazu.

Tymczasem Oksiński komenderował dalej.

— Pierwszy pluton wynajdź Lemańskiego, chociażby spod ziemi. Drzwi podważać, na nic się nie oglądać!

Po chwili z wnętrza domu zaczęły dochodzić odgłosy poszukiwania: tu i owdzie wrywano tylko kłami, gdzie indziej trzeba było wywazać drzwi. Trwało to dość długo i Oksiński począł się już niecierpliwić, gdy nagle w głębi dworu huknęły dwa strzały i w chwilę potem okazały się mężczyźni w myśliwskiej kurtce i z dubeltówką w ręku wybiegli na dziedziniec.

Roztrąciwszy zabiegających mu drogę żołnierzy skoczył jednym sussem na brykę wciąż jeszcze stojącą pod gankiem i chwycił za lejce. Gwałtownie ścignął konie poderwały się z miejsca galopem i wicherem wypadły za bramę. Jednak spłoszone strzałem wartownika, stojącego u wjazdu skrzyżły gwałtownie w bok i natrąciwszy na zaspe, wywaliły brykę. W tej samej chwili powstańcy wynosili z głębi domu na ganek kolegę, zabitego wystrzałem Lemańskiego...

Ganek zagórzańskiego pałacu, wsparty na dwóch kolumnach, stanowił jedną ozdobę tego ponurego budynku. Okragły debowy stół i ławki z wysokimi, pięknie rzeźbionymi oparciami świadczyły o tym, że w innej porze roku ktoś tu chętnie siadywał. Teraz i stół i ławy przykryły obrzydliwe czapy puszystego śniegu. Jeden z powstańców zmiótł go kolbą, ale naczelnik Oksiński nie ślad, gdy podprowadzono pod ganek schwytanego dziecka. Oparł się tylko o stół i pykając z wolna swą nieodstępną fajeczkę, przenikliwym wzrokiem wpił się w twarz szlachcica.

Tymczasem żołnierze zaniechali dalszych poszukiwań w domu i zbiegli się tu równie, by zobaczyć mordercę.

Ten zaś stał dumnie, okazałej postawy, człek w kwiecie wieku i męskiej urody. Szpeciły go jedynie usta: wydatne, zmysłowe, w wyrazie pełne pogardy i pychy.

— Ale pan! — rzekł półgłosem któryś z powstańców. — Phil... zgasił go drugi — u nas, w mieście Łodzi, bracie, Gajer, fabrykant i nie-szlachcic tak samo gębę wydyma, jak wejście na salę...

— Bo tamtego pieniądza rozsada. A że władzę nad robotnikami ma taką samą, jak szlachcic nad chłopem — to się tak samo puszy.

HORTENSJA

zawsze płynnym szkłem foremkę po prawej ręce majstra. Podczas gdy podana właśnie duża kropka zaczynała pod wpływem stosowanych przez majstra sztuczek hutniczego kunsztu stawać się cienkim naczyniem, ot, po prostu mała banką, jakie stawała się na plecach ludziom chorym, Danielak pedził z powrotem do kadzi, maczał znowu nosidło i wracał. Majster szybkim ruchem obracał teraz na osi stancję, gotowa banką przejeżdżała na lewą stronę, żeby schnąć, foremką po prawej ręce majstra znowu była pusta. Danielak ciekaw był zobaczyć do końca powstawanie kształtu z bezkształtnej masy i głodnym poznania oczyma podpatrzył, jak się to robi. Zatrzymał się niekiedy za plecami majstra, na palcach podchodził jeszcze krok, pół kroku bliżej, wstrzymywał oddech bojąc się przeszkodzić. Ale stary nie cierpiał takiego podglądania. Niech się każdy męczy tak długo, póki sam nie dojdzie do doskonałości, majster nie zamierza udzielać nikomu swoich bezplatnych nauk. Niedoczekanie czytel Sam harował długie lata, nim został tym, czym jest — majstrem. Ileż to czasu pracował bez wynagrodzenia!

— A tu przyjdzie taki za przeproszeniem gówniarz i chce w try migę wszystkie sekrety poznać.

— Jakby miał z tyłu oczy — myślał Danielak, nie mogąc się wydzielić, że lekko przycylił się za starym, ten już się ogłąda przez lewe ramię. Wiecha zatabaćcych wasów bez pospiechu wyjeżdżała z tego lewego policzka, co było dla Daniela sygnałem do wycyfowania się z placu. Tempo pracy starego było też takie, że niewiele tylko czasu pozostawało Danielakowi na „patrznie. Ciągłe bieganie donosząc płynne szkło, nie mogąc mimo usiłowań prześcignąć starego na tyle, żeby móc przystanąć i odpocząć.

— Może stary diabeł tak śpieszy, żeby nie miał czasu podglądać, jak on robi? — zastanawiał się czasami Danielak.

Zrezygnowany, drażniony do kadzi po nowe szkło, westchnieniem wyrażając żal z powodu przerwanego widowiska. Tych westchnień nikt w „Hortensji” nie słyszał. Nikt ich nie liczył. Było ich z biegiem czasu coraz więcej.

— Spróbuj no tak latać w kółko przez osiem godzin — mówił kiedyś do Niny. — Zobaczysz, jaka się ochwacą kobyła rob! z człowieka.

— Marks powiedział! — zaczęła Nina.

— Et, coż mi Marks pomoże. Teoria teorii a patr, jak marnie urządzony jest świat. Szkoda gadać! Machał przy tym ręką i zapalał papierosa.

Nina widziała, że zachodzi w nim ustawiczna, stopniowa zmiana. Siedząc garbił się i zwieszał głowę, nogi wyciągał daleko przed siebie, dłoń spuszczając między kolana, jakby był to żelazne kłody. Widać było, że odpoczywał siedząc tak; potrzebował odpoczynku. Z chłopca zmienił się szybko w ociężałego robotnicarza.

— Przecież masz lekką pracę? — interesowała się Nina.

— Chyba lekka. Ale jaką głupią, Nina, kolowaczyni można dostać. Pierwszego dnia zdawało się, że to nie nic. Byłem nowicjusz, ganiałem ciągle w lewo. Taką karuzellę sobie weźbie zrobiłem, że w końcu straciłem grunt pod nogami. Upadłbym jak nie, gdyby mnie Józek nie złapał. Te raz do przerwy ganiałem w lewo, po przerwie w prawo.

— Dom wariatów! — oburzała się Nina.

— Ano, coż robić? — wzdychał Danielak. — Dopóki się nie nauczę czegoś lepszego, muszę latać, jak idiota.

Krótkie postoje za plecami starego nie dawały. Danielak sam nie wiedział, kiedy machnął ręką na tą

ka naukę. Biegał teraz bezmyślnie. Podawał płynne szkło starając się już tylko jak najmniej upuścić po drodze, bo iglice przylepione do przedmiotów groziły skażeniem. Godzina popychała nosem godzinę, która nie chciała ustąpić. Czasem trząsły raz dziennie zastanawiał się, czy to woterek, czy może już nawet sroda; lecz był to ciągły ten sam poniedziałek. Przerwa obiadowa była wytchnieniem dla jednego, porą posilku dla drugiego, okazją do pozarobowania dla innych albo wypełniania ją wszystkimi temi przyjemnościami.

mi. Dla Daniela była to pora martwoty. Majster Dura wyłaził ze swego fotela, szedł na górę do majstra Sacyńskiego rozprostować gnaty i pogadać. Wiadomo, arystokracja „Hortensji” nie może obywać z pospółstwem. Fotel, okapany płynnym szkłem, pozostawał pusty. Danielak walił wtedy swoje zmęczone członki na miejsce majstra Dury i zwieszał głowę drżąc. Dziś tak jak codzień czekał przerwy, żeby odpocząć. Ledwo zadzwoniono, ledwo stary wstał odszedł, Danielak padł na fotel i nagle zastępną sztywno, że skończył wzrokiem, że wznieśliem ramieniem. Dwaj hutnicy sturchnęli się ramionami, przyglądając mu się uważnie.

— Co jest? — zawołał Chojnacki. — Siedzę na „igle” — wyszeptał Danielak.

— Weszła w ciało? — Tak.

— Nie ruszaj się, bracie, bo może być z tobą kłepsko.

— Te, Józek — zawołał do idącego po schodach robotnika — powiedz naszemu staremu, że podawacz usiadł na „igle”.

Tych „iglic” robił Danielak jeszcze dużo przy swojej niewielkiej wprawie. Niemal z każdej porcji spadała odrobina zamieniając się w mniejszą czy większą iglicę. Był dziś tak zmęczony, że nie spostrzegł, na czym siada. Teraz opanowywał drżenie, żeby nie dopuścić do zlamania igły w cieło.

— Dawajcie go tu, chłopaki! — huknął Dura swoim za mocnym na zamkniętą przestrzeń głosem.

— Ale jak?

— Z fotelom. Jazda go tu. Żywo. Chwycili fotel w kilku, dźwignęli bez trudu mocnymi ramionami, wnieśli do góry. Byli mężczyźnami a Danielak, to jeszcze chłopak nieopierzony. Jechał przez całą halę ponad głowami zagapionych nań robotników, jechał ciętą kłatką schodową, zawstydzony ale i dumny z tego wypadku, dzięki któremu niosą go tak, jakby to co najmniej były jego imieniny, a on zdążył już zostać naczelnikiem straży pożarnej. W Woznikach tak zawsze czczono ważnych solenizantów, że ich wznoszono do góry, a potem huśtano. Ba! żeby go tylko nie huśnęli! Przestraszony samym pomysłem Danielak oblał mocniej poręcz fotela.

— Nie ruszaj się, bracie — ostrzegali go ci, którzy nie pierwszy raz widzieli podobną operację.

Dawał go tu — mówił stary Dura, przechylając się przez poręcz. Wasy ruszali się się podjeżdżając, jakby krył pod nimi śmiech z tego młodego zucha, który się tu zaraz na niego wypnie, bo mu igła weszła tam, gdzie nie trzeba. Czapkę zdjął z głowy odsłaniając białe czoło, niepodobne do twarzy czerwonej i ogorzałej, jak skórka chleba. Był teraz bardziej żniwiarzem, niż hutnikiem.

— No, pokażcie go! — zawołał tak wesoło, że robotnicy roześmiali się w odpowiedzi a Danielak zaczął wargi pełen wdzięku.

— I coż, podglądaczu — zagadnął stary Dura — dużo się nauczyłeś, co? Ślądałeś na moim fotelu i myślałeś, żeś majster... Oho, ho, niewiele ci z tego przyszło, masz igłę w siedzeniu, więcej nic. Tyleś tylko wysiedział!



— Chłop, czy robotnik — jedno poddaństwo — potwierdził trzeci. — Ale Władek Kotowski, najmłodszy ze wszystkich, uczeń z Piotrkowa, przerwał to rozważanie niecierpliwym pytaniem, czy wiedzą, jak też naczelnik z tym dziećmi będzie mówił.

— Bo — patrzcie tylko — gadał, wskazując na Lemańskiego — jak się to wzgardziwie, a z pańska na naszego naczelnika spogląda...

I istotnie: — Każ mi waść rozwiązać ręce — rzekł właśnie Lemański rozkazując, patrząc wprost w oczy Oksińskiego.

Żołnierze nastawili uszu. — A już — mruknął jeden z tych, którzy musieli walczyć z Lemańskim, zanim go obezwładnili,

— mocny jak niedźwiedź, tylko go puścić wolno! — Musiałbym mieć do pana zaufanie — a nie mam, więc rozkazu takiego nie wydaj. Zabiłś mi waść człowieka — odparł Oksiński, siłując się na spokój.

— Coż to ma do rzeczy? — spytał napastliwie Lemański. — Czyżbyś pan nie wiedział, że za wystąpienie z bronią w ręku w czasie wojny przeciwko wojskom są polowy każe śmiercią?

Wśród powstańców rozszedł się szmer aprobaty. — Przeciwno wojskom? — powtórzył Lemański uragownie — jakim to wojskom, gdyż ja znam tylko jedno.

— Jakież to? — No, cesarskie. — A psu! — wykrzyknął ktoś głośnie pełnym oburzenia, a w szeregach rozległo się szemranie.

— Spokój tam! — krzyknął Oksiński, po czym zwrócił się znów do Lemańskiego. — To szkoda, panie Lemański, wielka szkoda, że waść tylko to jedno... Ale szkoda da się naprawić. Pomóż pan za chwilę jeszcze inne wojsko. Tu Oksiński podniósł głos i uderzył pięścią w stół:

— Panie Lemański, zabiłś mi żołnierza! — Żołnierza? — Lemański parsknął śmiechem — hołysta bez butów chyba chciałś waść powiedzieć.

Wśród powstańców rozległ się groźny pomruk. — Wolnego, panie dzieźciu... — zaciśnięty się żołnierskie pięści.

Ci, co stali dalej, zaczęli napierać na bliżej stojących, bliżsi podsunęli się ku Lemańskiemu. Ale ten stał bynajmniej niezastraszony, nawet nie obejrzał się za siebie.

Oksiński podnieśieniem ręki uciszył wzburzonych, poczem zawołał: — Poruczniku Maźniewski, wybierz pan sześciu ludzi, najstarszych wiekiem. Niech tu wejdą na ganek.

Ruch się zrobił między żołnierzami: nie wiedzieli jeszcze, jaką rolę spełnić mają ich starsi koleodzy, radzi byli jednak, że naczelnik zamierza działać wspólnie z nimi.

Tymczasem porucznik Maźniewski wybierał: — Godlewski, Gotz, Krajewski, Bartosik, Miyniec, Mrowiec... wystąpił.

Wymienieni wystąpili i weszli po stopniach na ganek, omijając Lemańskiego, niby wściekłego psa. Stąpali w postawie na baczność, patrząc uważnie w oczy swego zwierzchnika. Reszta, podsunawszy się pod ganek, trwała w napiętym oczekiwaniu.

— Uważajcie — rzekł ostro Oksiński — jesteście sądem polowym. Waszego porucznika mianuje przewodniczącym. W imieniu Rządu Narodowego odprawicie sąd nad obywatelom Lemańskim, właścicielem dóbr Zagórze, którego oskarżam o wystąpienie zbrojne przeciwko wojsku polskiemu i zabójstwo żołnierza pełniącego służbę, a także o zbrodnię znęcania się nad ludem. Rozważcie w sumieniu waszym sprawę i osądźcie, czy obywatel Lemański winien jest postawionych sobie zarzutów, czy też nie. Jeśli uznacie go winnym — powiedzcie, na jaką karę zasłużył...

W maru słów Oksińskiego Lemański zmienił się na twarzy: wyraz ironii i wzgardy zniknął, pojawiła się natomast wściekła pasja. Sturpurował, a nie mogąc widzieć dłużej wytrzymać, ryknął:

— Skoncz wreszcie, blaznie, tę komedię! Chamać mnie na sąd odajesz? mnie, szlachcica?

— Ale Oksiński n'e mu już na to nie odpowiedział. Żołnierze również jak gdyby nie zwrócili uwagi na wybuch Lemańskiego: ci, na ganku — naradzali się, reszta, w krag stojąca, wymieniała między sobą ciche uwagi.

— Naczelnik się zawzięł — gadał któryś — nie ma co! — Sąd polowy zarządził, to, znaczy się, musza ład Lemańskiego wydać na rozstrzał...

— No, to wydadzą, ja naszego naczelnika znam — twardy to człek.

Naczelnik twardy, ale tamten, bracie — słuchaj! Nie wiesz, jak do tej pory było? Chłopa uśmiercił, to jakby muchę zabił. Nie było takiego sądu, co by się za nim ujął. Ale na jasne panowie, bracie, rękę podnieść... ho, ho...

— Ma on ich, niby nasz naczelnik, tych szlachciców, mówię — w dupie... Wojenne prawo i zbyte.

Urwał w pół zdania, gdyż ktoś właśnie krzyknął.

— Chłopów widział! I wszyscy spojrzeli ku bramie. (Dokończenie na str. 6)

Rys. St. Gierowski

— Ma on ich, niby nasz naczelnik, tych szlachciców, mówię — w dupie... Wojenne prawo i zbyte.

Urwał w pół zdania, gdyż ktoś właśnie krzyknął.

STANISŁAW CIEŚLAK

Nowi działacze chłopscy (III)

JEDNA z podstawowych cech narodu socjalistycznego, różniący go zasadniczo od narodu burżuazyjnego, jest ludowość, obejmująca swym zasięgiem nie tylko lokalną gromadę, gminę, powiat, województwo, nie tylko sprawy własnego kraju, ale i sprawy międzynarodowe, a więc i sprawy światowe.

Rozwój tego ludowości nie odbywa się gładko, bez walki. Główna i schodząca z widowni świata klasa kapitalistyczna usiłuje bowiem ten rozwój zatrzymać. Od chwili Rewolucji Październikowej otrzymała już ta klasa śmiertelny cios, z którego się nie wyliczy, to prawda. Poważnie już została osłabiona, choć jeszcze nie dobita i w naszym kraju. Ale ta gładka klasa, przy pomocy międzynarodowego kapitału (którego się czuje oddziaływać u nas w kraju), licząc na trwałość skorupy kapitalistycznej nadbudowy, nie rezygnuje z walki o zachowanie swych (choćby nawet tak jak dziś uszczuplonych) wpływów, sądząc, że przy innych okazyj będzie się mogła odegrać.

Alle rozwijająca się i pogłębiająca rewolucja socjalistyczna w naszym kraju, która dotarła już, bądź dopiero dociera nawet do tych najbardziej niegdyś zapadłych i odciętych od świata wsi w Polsce, rozbija coraz skuteczniej zarówno wszelkie próby ingerencji międzynarodowego kapitału w sprawy naszego narodu, jak i tę skorupę kapitalistycznej nadbudowy, na której trwałość tak liczy stale wróg klasowy. Szybki rozwój ludowości i wyrastanie nowych, ludowych działaczy, świadczących coraz wyraźniej nie tylko wśród przodujących, najbardziej świadomej klasy robotniczej, ale także, co jest ogromną klęską kapitalistów i wśród dawnych nie raz ich sojuszników, a dziś sojuszników proletariatu, razem z nim budujących nowy, lepszy ustrój, wśród chłopów średniorolnych.

A zaczyna to się często tak, jak u ob. Wojtowicza, którego obecna szeroka i wszechstronna działalność społeczna rozpoczęła się od strażki pożarnej, czy jak u ob. Słomki, od rozdzielania nawozów i nasion poprzez spółdzielnię elektryfikacyjną aż do organizowania omlotów przy pomocy sąsiadów w interesie całego, ludowego państwa. A więc od wyjścia ze skorupy indywidualnego dorobania się na swoim, do pracy podejmowanej już zbiorowo, z początkowo myślną umocnienia i rozwoju własnego tylko gospodarstwa, a później z coraz większym zrozumieniem interesu społecznego gromady, gminy, całego kraju.

„Z zamiłowaniem biorę czynny udział” — pisze ob. Słomka — w takich akcjach, jak rozdzielanie nawozów i nasion itp. Byłem również inicjatorem i współorganizatorem spółdzielni elektryfikacyjnej, dzięki czemu mamy światło elektryczne i silę napędową, co przyczynia się również do wykonania w terminie obowiązków wobec państwa. W warunkach władzy ludowej, która prowadzi konsekwentną politykę ograniczania, wypierania i likwidowania elementów kapitalistycznych i możliwości uzyskania, która pamięta o budowaniu mostów (planowy skup, kontraktacja itp.) prowadzących od drobnostawnej gospodarki, ku gospodarce socjalistycznej — niewątpliwie nie.

To kapitalizm, przy pozorach równego startu dla wszystkich przedsiębiorstw interesu jednostki interesu ogółu, ale nie socjalizm.

„Socjalizm — uczy Stalin — nie neguje, ale łączy interesy indywidualne z interesami kolektywnymi. Socjalizm nie może abstrahować od interesów indywidualnych. Najbardziej zadowolony jest ten, kto zdoła tylko społeczeństwu socjalistycznemu. Co więcej — społeczeństwo socjalistyczne reprezentuje jedynie trwałą gwarancję ochrony interesów jednostki”.

I dlatego, w warunkach władzy ludowej, kierowania przez klasę robotniczą i jej partię życiem społecznym narodu, to wytrwale szukanie i mądre szukanie własnego interesu, które ob. Wojtowicz do pracy w strażce pożarnej doprowadziło do odbudowy świetlicy w celu ożywienia życia kulturalnego gromady, a ob. Słomkę wiodło od pilnowania swych interesów przy rozdzielaniu nawozów sztucznych i nasion, przez spółdzielnię elektryfikacyjną do organizowania pomocy sąsiadom przy omlotach — doprowadziło z pewnością i to może już w niedługim czasie do zrozumienia jakie nowe, nieznanie i ogromne możliwości otwiera przed nimi spółdzielczość produkcyjna, a więc ta forma organizacji pracy na roli, która przy obecnym poziomie sił wytwórczych kraju, najlepiej harmonizuje interes jednostki i interes kolektywny.

Alle trzeba podkreślić, że ten proces dojrzewania nowej świadomości wśród średniorolnych chłopów typu Wojtowicza czy Słomki, może przyspieszyć w ich interesie i w interesie narodu, który dotkliwie odczuwa skutki opóźnienia się rolnictwa, nasza praca terenowa. A więc stałe rozszerzanie i umacnianie tych mostów, na które, wkraczają już wielość średniorolnych chłopów nie tylko ob. Wojtowicz i ob. Słomka.

Przykładem zaś głębszego rozumienia całej sprawy może być ob. Caban, coraz częściej na wsi naszej typ świadomego, oddanego Polsce Ludowej, bezpartyjnego działacza chłopskiego.

On już rozumie dobrze, że jego los i dobrobyt i wszystkie wyniki jego pracy zależą nie tylko od tego, czy w jego gromadzie będzie straż pożarna, która obroni go przed klęską, i nie tylko od dostatecznej ilości sprawiedliwie rozdzielonych w gminie nawozów sztucznych, ale także, a może raczej przede wszystkim od tego, co się dzieje w całym kraju, jak przebiega nasza wielkie budownictwo socjalistyczne, jak rozwija się nasza główna, nadzieja lepszej przyszłości — przemysł.

„Gdy dowiedziałem się, że w innych powiatach jest licho urodzaj z powodu suchy — pisze ob. Caban, a pisał już nie tylko obserwator, ale rzeczywisty współgospodarz kraju — zaraz po omlotach, odstawiłem do punktu skupu, ile tylko mogłem zboża.”

Alle wiedząc dobrze, że rozwój kraju wymaga rzetelnego, zgodnego i ofiarnego współdziałania innych obywateli, zakrzętnął się żywo, aby przekonać i swych sąsiadów. Widzi, my nawet, jak z rosnącą odwagą dobiera się do skóry miejscowego dygnitarza, komendanta straży pożarnej, słusznie rozumując, że podstawowe funkcje społeczne nie zważają nikogo i w żadnym wypadku od wypełniania tak podstawowych i ważnych obowiązków wobec państwa, jak planowy skup zboża i ziemniaków, jak kontraktacja trzody chlewnej itp.

Można być pewnym, że ob. Caban, który tak wiele widzi, skoro zauważył „magnetyczny” wpływ czarnego rynku na ob. Prajsnera, dostrzeże i to, kto stoi za plecami jego sąsiadów Rzepy i Prajsnera, jakie to siły społeczne usiłują przeciwdziałać jego zabiegom i krzątnię, i zaciebie po imieniu i nazwisku nazywać inicjatorów i bohaterów czarnego rynku: spekulantów i kulaków, którzy odcinają jego sąsiadów od wypelniania obowiązków wobec państwa.

Raczej ma bowiem ob. Górska, kiedy pisze, że „musimy prowadzić walkę w naszej gromadzie i gminie z wyzyskiwaczami i kulakami, bo i sami się odcinają i innych odcinają od skupu”.

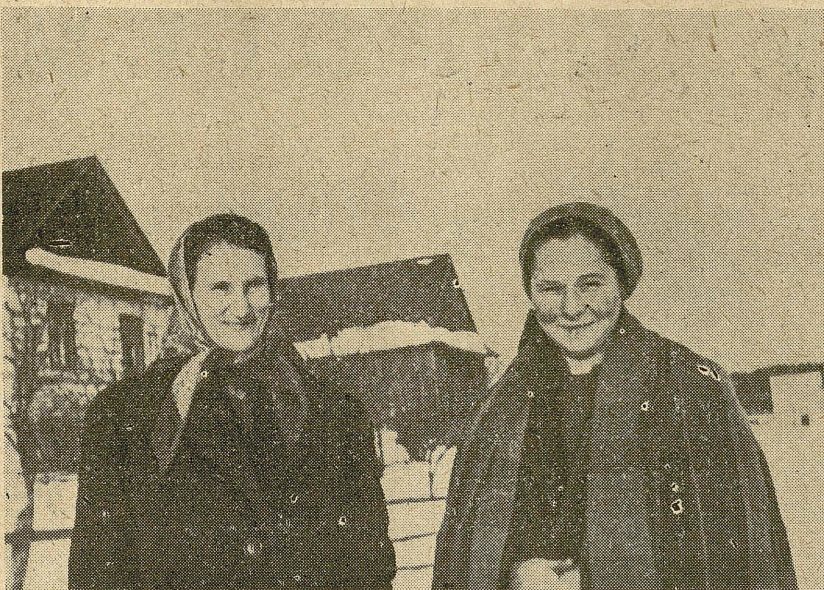
Ob. Banasiak zdaje sobie sprawę, dlaczego tak kulacy postępują, gdy przyrzeka, że „będzie miał oko na tych maniaków pana Mikolajczyka, którzy lekceważąc swe obowiązki wobec matki-ojczyzny — zezują ku polityce anglo-amerykańskiej, opierając się na paczkach amerykańskich i czekając na wojnę, a jak przyszedł do planowego skupu to... ziemniaki zakryli burakami i nie chcieli dać państwu”.

Ob. Banasiak mówi w imieniu ogromnej większości mało i średniorolnych chłopów w Polsce i dlatego tak podkreśla: „proszę mi wierzyć, bo mnie ufa i zapewnia nie tylko gmina i powiatowa ale także i wojewódzka rada narodowa.” „Nasza partia nie ugnie się przed takimi skłódnikami, a my chłopcy twardą ręką jej w tym pomożemy”. Ale jak? Jak zabezpieczyć kraj przed nową zawieruchą wojenną, na którą tak czekają i tak uciążliwie wrogowie Polski Ludowej?

Dla ob. Nowickiego to już nawet nie jest problemem. On, który przeszedł z bronią w rękę cały bojowy szlak Armii Czerwonej od Stalingradu do Berlina i „trzykrotnie ranny, krwią swą — jak pisze — przypieczętował granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju”, zamienił obecnie dawną pracę przy działach bojowych na pracę przy plugu, i tak, jak niegdyś walczył z bronią w ręku, tak dziś zwiększając produkcję swojego gospodarstwa i używając do współzawodnictwa swych sąsiadów — walczy o wolność swego narodu i o pokój.

Nie ma wśród tej grupy przodujących rolników, których listy oświadczają, że jednego, który by nie brał żywego udziału w pracach terenowych rad narodowych. Oni bowiem uczęszczają do ludowości, wokół nich ogromada się cała inicjatywa i twórczość mas ludowych w walce z wrogiem klasowym budujących nowe, lepsze życie. A w pracy wokół Rad i w Radach wyrasta nowy typ działacza chłopskiego.

Stanisław Cieślak



Ludwika Pankowa (żona przewodniczącego) i Weronika Jurkowska (żona owczarza) w spółdzielni produkcyjnej w Piszczku.

Foto E. Golański

Musimy prowadzić walkę

My z mężem mamy 5 ha ziemi, i mamy też inwentarz żywy: konia krowę i trzodę chlewną, która nam daje najlepszy dochód w gospodarstwie. W roku 1951 bowiem zakontraktowaliśmy 5 sztuk i zdalei, a za jedną sztukę dostaliśmy premię, która nas jeszcze bardziej podciągnęła do kontraktacji na 1952 rok. Zakontraktowaliśmy w 1952 roku już cztery sztuki na drugi kwartał, a na trzeci i czwarty zakontraktujemy też 4 sztuki, bo że świni jest najlepszy dochód.

Płodowianę stosujemy tak, żeby jak najwięcej wykorzystać glebę i uprawiamy także rośliny, które nam dają najlepszy dochód, a mianowicie rzepak zimowy i burak cukrowy, len i jęczmień browarny, peluszkę, wykę. Te wszystkie rośliny kontraktujemy, bo się opłacają, tak że z gospodarstwa o powierzchni 5 ha, to połowę przeznaczamy na kontraktację. Praca w polu idzie nam w ten sposób, że z mężem pracujemy wspólnie, tak na roli jak i społecznie. Ja jestem obecnie prezesem Gminnego Zarządu ZSCH w Niwicy, jak również i członkiem Komitetu Gminnego PZPR, również i Komitetu Powiatowego i przewodniczącą Kola Gospodyń Wiejskich w Gnieznowszczyce. Mąż jest sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej i kierownikiem grupy plantatorów i hodowców trzody chlewnej. Musimy prowadzić u siebie w gromadzie ostrą walkę z kulakami i wyzyskiwaczami, bo się odcinają i szkoda w ten sposób i nam i naszemu Ludowemu Państwu i odcinają innych od skupu.

MARIA GÓRSKA
gr. Gnieznowszczyce, pow. Żary.

Bo plan to święta rzecz

Ja zwykły chłop ze wsi chciałem się wywyższyć Państwu za dane mi gospodarstwo co roku płacąc podatki i sprzedając Państwu zboże. Niech ma robotnik chleb, a ja zboże i pieniądze.

Gdy się dowiedziałem, że w innych powiatach jest licho urodzaj z powodu suchy, po omlotach odstawiłem zaraz do punktu skupu, ile tylko mogłem zboża, uregulowałem 1616 złotych i 50 groszy podatku gruntowego i wpłaciłem na Państwowy Fundusz Ziemi 600 złotych. Narodową Pożyczkę w wysokości 250 złotych żem wpłacił już w październiku. Zakontraktowałem w roku 1951 i odstawiłem 7 tuczników, na rok 1952 zakontraktowałem 8 sztuk świń na pierwszy i drugi kwartał.

Posiadam ziemi ornej 6 ha 40 arów w tym 80 arów łąki przez co mogę hodować 2 młode konie, 3 krowy, 1 jatkówkę, 8 sztuk zakontraktowanych świń i jedną swinie na matkę. Chociaż odstawiłem i zboża i ziemniaków ponad plan, jestem w stanie wyżyć ten inwentarz, bo sieję buraki cukrowe to mam i pieniądze i cukier dostaję i wysłoki młode, sieję mieszanki, dokupuję trochę jeszcze wysłoków, to mi karmy starcza. W pracy sobie daję radę, chociaż jestem sam z żoną i dwójkiem małych dzieci, w dodatku jestem sołtysiem od 1950 roku.

W społecznych pracach się udzielam, chociaż jestem bezpartyjny.

Gdy przyjechał na Ziemie Odzyskane w 1947 roku, było do objęcia w tej gromadzie już tylko jedno gospodarstwo a nie zdawało się, że nie zastaliam żadnych drzwi ani nawet okien. Z trudem to wszystko przeprowadziłem do porządku. Nie miałem wcale inwentarza żywego, ale dostałem traktor od orki i zboże do pierwszego sekwesu od naszego Ludowego Państwa. Po pierwszych zbiorach kupiłem sobie dwa prosiaki, po sprzedaniu tuczników kupiłem sobie konia, i miałem już czym w polu robić. Za odciochy z buraków kupiłem sobie krowę ale licha, więc w następnym roku ta licha krowę sprzedałem i odciołem ze świńkami i kupiłem sobie lepszą i od niej dochowałem się już 3 krowy.

Alle w mojej gromadzie jest jeszcze paru takich, co planu nie wykonali, jak np. ob. Prajsner Tadeusz, który miał plan 1898 kg, a odstawił 215 kg do dnia 31 października 1951

Organizuję pomoc sąsiedzką

W woj. katowickim, posiadam w Golejowie gospodarstwo rolne o obszarze 4,75 ha, domek mieszkalny i zabudowania gospodarcze. Jako inwentarz żywy trzymam 1-go konia, 1 krowę, 4 szt. świń w tym 2 zakontraktowane. W rodzinie mam 7 osób, 5 synów i jedną córkę. Oprócz najmłodszego i jednego, który nie wrócił z wojny i nie wiemy nie o jego losie, wszyscy są poza domem. Najstarszy jest kierownikiem PZGS w Brzegu, drugi cieśla, pracuje na kopalni węgla, trzeci — jest kierownikiem Pogotowia Ratunkowego w Rylewku, najmłodszy syn pracuje ze mną na gospodarstwie. Rola w tutejszej okolicy jest licha, uprawiam ziemniaki, żyto, owies, małe ilości pszenicy, buraków pastewnych i warzyw dla swojej potrzeby. Wskutek należytą uprawy, nawożenia i płodowianów zbioru mam nienagorze, które starczą na wyżywienie rodziny, utrzymanie wyżej wspomnianego inwentarza, no a na zapłatę podatków i cpiat, sprzedam 3 — 5 ton ziemniaków i 2 — 3 sztuki trzody chlewnej, tak że płacenie podatków i innych ubocznych opłat nie sprawia mi większych trudności, jak również i świadczenia na rzecz Państwa w naturze zdołam wykonać w terminie.

Jestem członkiem Zw. Samopomocy Chłopskiej od powstania Władzy Ludowej a ostatnio prezesem tutejszego kola. Z zamiłowaniem biorę czynny udział w akcjach rządowych, jak rozdzielanie nawozów, nasion itp. W akcji siewnej stawiam siewnik do dyspozycji, zaś w czasie żniw przeprowadzam omloty u młodszych, wskutek czego akcja skupu wykonana została w terminie. Byłem również inicjatorem i współorganizatorem Spółdzielni Elektryfikacyjnej dzięki czemu mamy światło i silę napędową do maszyn, co przyczynia się również do wykonania w terminie nałożonych obowiązków wobec Państwa.

WIKTOR SŁOMKA
Golejów, gm. Wielopole
pow. Rybnik

Kobieta — przodującym rolnikiem

Teraz syn Jan pracuje ze mną na gospodarstwie, a drugi Józef skończył gimnazjum rolnicze i powołano go w szeregi Wojska Polskiego. W roku 1950 wrócił z wojska w stopniu podoficera i cieszy się autorytetem wśród ludzi. Od 1.1.1951 r. pracuje w Powiatowym Komitecie Wykonawczym Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Tczewie na stanowisku instruktora rolnego, ponieważ zna zagadnienia rolnie. W tym gospodarstwie dopomagam mi drogą korespondencyjną teoretycznie, na przykład w stosowaniu płodowian, nawozów sztucznych, żywienia trzody chlewnej itp.

Ziemie mam średniej jakości, lecz przy dobrym wynawożeniu nawozami sztucznymi otrzymamy ze spółdzielni miałam w tym roku nawet większe plony niż w latach ubiegłych. Uważam, że nie wszyscy rolnicy doceniają nawozy sztuczne, mimo że spółdzielnie posiadają je w dostatecznej ilości (odczuwało się tylko pewien brak nawozów azotowych). Przy dobrym wynawożeniu i umiejętnej uprawie (wieczorami pracowałam z ołówkiem w rękę) mogłam wywiązać się z planu skupu zboża, sprzedając Państwu ziarna ponad 100 proc., ziemniaków ponad 300 proc., jak również uregulowałam wszystkie należności finansowe: jak podatek gruntowy, FOR, szarwark, Pożyczkę Narodową itp. Na I, II i III kwartał 52 roku zakontraktowałam 6 sztuk trzody chlewnej, a na styczniu zobowiązałam się dostarczyć do punktu skupu 1 sztukę mięsno-

sloninową o wadze 300 kg. Biorę udział w każdej akcji państwowej na wsi, ostatnio omawiałam z gromadą jakie korzyści ma producent trzody chlewnej, zakontraktowanej na rok 1952 w myśl dekretu wydanego 22.XI.1951 r. Wszystkie rozporządzenia i dekrety znam przeważnie z gazet, bo abonuję pisma: „Zielony Szlantar”, „Wolę Ludu”, „Gromadę”, „Rolnik Polski” i „Przyjaciółkę”. Wszystkie te pisma dają mi dużo wskazówek i nowych porad gospodarczych, poświęcam wieczorami dużo czasu na czytanie. Niestety wciąż jeszcze przy lampie naftowej, co szkodzi moim starym oczom. Od roku 1945 do 1949 należałam do Stronnictwa Ludowego a od chwili zjednoczenia należałam do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, obecnie jestem w-cie przewodniczącą PKW ZSL, radną PRN i radną GRN oraz członkinią Kola Gospodyń Wiejskich i członkiem zarządu ZSCH. Inwentarz mój w gospodarstwie składa się z 1 konia, 2 żrebaków (jeden z nich roczny, drugi dwuletni), 3 krowy, 2 jatkówkę, 2 owce, 7 świń i 40 sztuk drobiu.

Uważam, że każdy może pójść moimi śladami i tak zorganizować swoje gospodarstwo, lecz trzeba zmienić dotychczasowy system gospodarowania, w pierwszym rzędzie zacząć od dobrej gospodarki obojętności, który dobry rolnik nazywa „złotem” a nie zaczynać od pięknych umśbowań pokojowych.

JULIANNA LEŚNIAK
Sulicice, pow. morski

Będę miał na nich oko...

Posiadam 8 ha ziemi, 3 krowy, 1 konia, 7 owiec i 5 świń. Mam 7 dzieci, z których czworo już się uczy w szkołach podstawowych i zawodowych, a troje małych jeszcze w domu.

Nie jest nam jeszcze lekko, ale trzeba przecież pokazać swoim sąsiadom jak trzeba pracować dla naszej Polski Ludowej, która nam dała życie i kulturę. Dla tego, choć miałem zdać zboża 2.500 kg, zdałem 4.471 kg. ziemniaki też oddałem ponad plan, i podatki zapłaciłem w terminie.

A są jeszcze w naszej gminie tacy ludzie, maniaci pana Mikolajczyka, którzy lekceważą swe obowiązki wobec matki-ojczyzny, zezują ku polityce anglo-amerykańskiej, i opierając się na paczkach amerykańskich czekają na wojnę, a jak przyszedł do planowego skupu, to... ziemniaki zakryli burakami i nie chcieli dać Państwu.

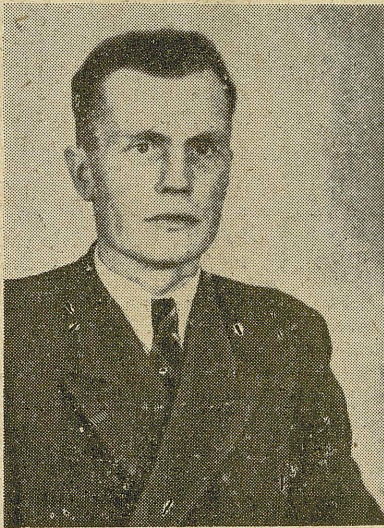
Alle już ja im zaznaczyłam na zebraniu gromadzkim, że to nie im nie pomoże. Nie będzie tak, żeby jednostka szkodziła całemu masom. Nasza partia nie ugnie się przed takimi, a my chłopcy twardą ręką jej pomożemy.

Na takich, co to sobie lekceważą Polskę Ludową, to ja teraz będę miał oko i sam ich dopinuję.

Nie dam tym wrogom wygadywać na Związku Radzieckim, bo kto jak nie Związek Radziecki i Wielki Stalin był naszym obrońcą od tego straszliwego wroga Hitlera. Ja dobrze pamiętam, jak to było w r. 1939, jak nam obiecywała Ameryka, że pomoże, i tak pomagała, że ja dostałem się do niewoli i przez pięć lat surowe buraki żarłem. I dlatego Ameryce nie nie wierzę. Piszę szczerą prawdę, proszę mi wierzyć, bo mnie zawierza nie tylko gmina i powiatowa, ale także i wojewódzka rada narodowa.

STANISŁAW BANASIAK
gr. i gm. Górzycza, pow. Rzepi

Walka o produkcję — to walka o pokój



Rodzice mój w okresie międzywojennym nabyli z parcelacji 16 mórg ziemi od dziedzica Wahlen. Za powyższą ziemię rodzice zostali dłużni około 400 dolarów (bo obszar nie był nie lubi liczyć), których nie byli w stanie spłacić do wybuchu wojny w 1939 roku. Trudno było gospodarować w Polsce kapitalistycznej — obszar nie był w stanie spłacić do wybuchu wojny w 1939 roku. Trudno było gospodarować w Polsce kapitalistycznej — obszar nie był w stanie spłacić do wybuchu wojny w 1939 roku.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Inwalida zostałem zwolniony w styczniu 1946 roku. W 1947 roku Władza Ludowa nadała mi 7 ha gospodarstwo rolne w grom. Franciszkowo, gm. Radownia, pow. Złotów. Pracując na roli traktuję tę pracę jako ważny posterunek pokojowej pracy nie mniej ważny, jak kiedyś służba wojskowa. Wiem, że wysiłek mój w czasie wojny nie poszedł na marne, więc dziś staram się nie pozostawać w tyle i choć inwalida staram się być i w gospodarowaniu i w skupie i w kontraktacji przykładem dla swoich sąsiadów.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do 15 stycznia 1946 roku biorąc udział w jej bohaterstwach walkach od Stalingradu aż do Berlina. Przechodząc cały ten bojowy szlak od Stalingradu aż do Berlina w walkach o „naszą i waszą wolność”, byłem trzykrotnie ranny, i własną kwią przypieczętowałem granicę na Odrze i Nysie, granicę pokoju. Zostałem kilkakrotnie odznaczony przez Najwyższą Radę Związku Radzieckiego medalami i orderami bojowymi. Jako 45 proc.

Pracując w ten sposób na swoim gospodarstwie nad utrwaleniem pokoju i umocnieniem Władzy Ludowej w Polsce nie ograniczam się tylko do gospodarowania na własnym zagospodarowaniu, ale biorę udział w życiu społecznym. W roku 1932 ukończyłem 7 klasę szkoły powszechnej i choć uczyłem się dobrze i miałem chęć dalej się uczyć, rodzice nie byli w stanie mnie dalej kształcić, bo za szkoły trzeba było płacić a i dostep dla dziecka chłopskiego był trudny. Myślałem już nieraz, dlaczego to nie urodziłem się dopiero w Polsce Ludowej, gdzie szkoły są otwarte dla dzieci robotników i chłopów, gdzie ziemia, oświata i władza jest w rękach mas pracujących. Nadszedł rok 1939. Tereny, na których zamieszkiwałem, zostały uwolnione od okupacji hitlerowskiej przez Armię Radziecką. W roku 1940 we wrześniu wstąpiłem do służby w Armii Radzieckiej, gdzie byłem do

MAREK PIECZYŃSKI

KILKA UWAG POLEMICZNYCH

PLENUM ZLP, poświęcone sprawom współczesnej krytyki literackiej, które obradowało w Warszawie w dniu 17 i 18 stycznia br., okazało się z pewnością doniosłym w skutkach zjawiskiem dla prawidłowego rozwoju naszego życia literackiego. W toku obrad poruszono wiele istotnych zagadnień. Mówiono o konieczności politycznego uubożenia krytyki, należącego zorganizowania warsztatu naukowego krytyki, wskazano charakter i źródła wielu błędów recenzyjnych, zwrócono uwagę na wychowawczą rolę krytyki nie tylko w stosunku do pisarza, ale i do czytelnika.

Poza głównym, raczej praktycznym - organizacyjnym nurtem Plenum, pojawiły się w przemówieniach kilku mówców także sprawy odnoszące się do zagadnień ogólniejszych, do teoretycznych podstaw pracy krytyki. Obrady plenarne rozwiązać kwestii tych nie mogły, zasygnalizowały jednak konieczność ustosunkowania się m. in. do wielu artykułów i wypowiedzi, które ukazywały się w piśmie literackich w ostatnich tygodniach przed Plenum - przynosząc wiele materiału do koniecznej dyskusji na ten temat.

W pierwszym rzędzie były to zjawiska, które A. Ważyk uznał za słuszne za przejawy sceptycyzmu w stosunku do osiągnięć - a nawet i w stosunku do normatywnych założeń - metody realizmu socjalistycznego. Znalazły one wyraz tak we wcześniejszych artykułach, jak i w niektórych wypowiedziach dyskusyjnych; płynęły zaś z rozmaitych postaw ideologicznych - od zamaskowanej wrogości w stosunku do realizmu socjalistycznego, aż do drobnych niejednokrotnie nieporozumień, które wywoływały w praktyce wystąpienia raczej niesłuszne.

W wielu wypowiedziach, choć nie zostało to może zupełnie wyraźnie sformułowane, znajdowała oddźwięk dyskusja o treści i formie, o doskonałości artystycznej w świetle poetyki realizmu socjalistycznego, zainicjowana niedługo artykułem M. Kierczyńskiej p.t. „Nie wolno wulgaryzować”. Stoczono wreszcie wielki bój w obronie bojowej pasji krytyki, przy okazji którego J. Kott poruszył kwestię indywidualnych gustów i indywidualnej oceny krytyki.

Te sprawy muszą znaleźć oddźwięk w naszej publicystyce literackiej, by usunąć resztki niejasności i zamęt u pojęciowego, do których przyczyniło się z pewnością milczenie, jakim kwitowano od dłuższego czasu wszelkie zaczepki dyskusyjne z zakresu teorii literatury. Chciałbym się tutaj zająć niektórymi z tych problemów.

I

W dyskusjach Plenum wiele miejsca zajęła polemika z bardzo interesującym artykułem L. Fla-

szena („Nowy Żółt” czyli o schematyzmie” - „Życie Literackie” Nr. 25). Ten świetnie napisany - i w praktyce bardzo pożyteczny jako zaczepka dyskusyjna - artykuł zawiera sporo błędnych i mylących sformułowań, które rozbijali uczestnicy dyskusji. A. Ważyk, ilustrując próby podważania zasady normatywności poetyki realizmu socjalistycznego, wskazał na idealistyczne rozumienie schematyzmu przez L. Flaszera. Idealizm polegał tu na odrywaniu konfliktu od konkretnego kształtu tego konfliktu, którego obraz artystyczny znajduje ukonstytuowanie przede wszystkim w postaciach bohaterów. Ilustrację tę trzeba by pomnożyć jeszcze analizą pewnego fragmentu artykułu Flaszera, w którym błędne sformułowanie prowadzi do pewnej wulgaryzacji właściwego rozumienia warunków, kształtujących powstanie realistycznego obrazu artystycznego.

„Operowanie całościami w wielkiej skali historycznej i socjologicznej musi odbywać się na bardzo wysokim piętrem abstrakcji, tam, gdzie rzeczywistość zatracza rysy konkretne i przestaje się w idealne formuły i symbole” - pisze Flaszera. Krytyk nie zapoznał się z artykułem Burowa w „Wsprosach filozofii” (przeniesionym na grunt polski przez M. Kierczyńską), w którym w sposób naukowy zostało udowodnione, że myślenie „na bardzo wysokim piętrem abstrakcji” jest w ogóle koniecznym warunkiem powstania realistycznego, typowego obrazu artystycznego. Burów cytuje Lenina: „...Myślenie, wychodząc od konkretnego ku abstrakcyjnemu nie odchodzi - jeśli jest prawidłowe... od prawdy, a zbliża się do niej. Abstrakcje materii, prawa przyrody, abstrakcje wartości itd., jednym słowem wszystkie naukowe (prawidłowe, poważne, sensowne) abstrakcje odbijają przyrodę głębiej, wnikliwie, pełniej”.

„Zadanie abstrakcyjnego myślenia w tym się właśnie zamyka - stwierdza Burów - aby w jednostrakowym i przypadkowym znajdować ogólne, prawidłowe”. Takie też myślenie leży u podstaw tworzenia typowego obrazu artystycznego. Flaszera jednakże wysnuł z tego założenia zupełnie błędny wniosek: „rzeczywistość jest jedna i jedne są tylko jej obiektywne proporcje. Patrząc więc stale pod kątem całości, stale - jeśli nie popełnimy omyłki w analizie - otrzymamywamy musimy te same rezultaty. Alegoria musi być konwencjonalna. Alegoria prowadzi do schematyzmu”. To, że „patrząc stale pod kątem widzenia całości” otrzymujemy „te same rezultaty”, dowodzi tylko obiektywnej sprawdzalności prawdziwości naszego poznania. Byłoby źle, gdybyśmy, posługując się metodą realizmu socjalistycznego, otrzymywali różne relacje merytoryczne tych samych problemów. Należy się tylko zastanowić, czy wszystko to prowadzi

do alegorii i czy znowu alegoria musi prowadzić do schematyzmu. Otóż moim zdaniem - ani jedno, ani drugie.

„Te same rezultaty” literatura może dać tylko w odniesieniu do najogólniej pojętego konfliktu epoki. Flaszera na tym poprzestaje, gdyż nie dostrzega specyfiki literatury - obrazu artystycznego, który „te same rezultaty” (uogólnienia typowe) przedstawia w jednym, indywidualnym kształcie postaci i doznań ludzkich. Bardzo słusznie zauważył pewien idealizm tych stwierdzeń A. Ważyk, mówiąc o odrywaniu konfliktu od konkretnego człowieka. „Te same rezultaty”, jako wynik myślenia „na bardzo wysokim piętrem abstrakcji”, nie prowadzi wcale do alegorii. Twierdzenie jest absurdalne.

Ten sam charakter nosi twierdzenie, że „alegoria prowadzi do schematyzmu”. Gorki pisał w artykule „O alegorii Oliwii Schreiner” („Czy potrzebna jest alegoria, ta trudna forma literacka, zawsze dająca do przedstawienia uprzednio podjętej myśli, moralizowanie przy pomocy obrazu artystycznego? - Bez wątpienia potrzebna. W formie alegorii można lepiej i prościej powiedzieć to, co chcemy. Będąc trudną jako forma, w pracy alegoria jest bardzo wygodna jako odzież idei, jako jej zbroja. Alegoria kryje zresztą satyrę, napaść, łżść, śmiały język i można w nią włożyć ogromną treść ideową”. Nie chce już tu wspominać o analizie Korolienki znakomitej roli alegorii w twórczości Niekrasowa. Nie widzę powodu do grzebania tej formy jako „ex natura” niby schematycznej.

W trakcie rozważań o „wszystkoizmie” postulującym przedstawienie „wszystkiego” w utworze literackim, „postulującym operowanie całościami w wielkiej skali historycznej i socjologicznej”, co ma rzekomo prowadzić nieuchronnie do alegorii i schematyzmu, krytyk zobaczył u siebie na biurku „Cichy Don” Szolochowa. Zrozumiał wówczas, że „operowanie całościami” nie musi doprowadzić do alegorii, a przeciwnie, może doprowadzić do genialnej wprost epopei. Cała więc jego poprzednia teoria w sposób naturalny bierze w łeb. Ale wszystkożizm trzeba o coś ośkarżyć. Oskarża się go więc o postulowanie tylko jednego gatunku - epopei. Wina jego staje się więc narzucenie epopei pisarzom o „innym typie twórczym”.

Ale czy rzeczywistość istnieje krytyka, która by wymagała od Szczipaczowa, aby pisał tylko epopeje? O ile Szczipaczow był może w związku z tego zadania, o tyle zupełnie nie możemy sobie wyobrazić, co by w takiej sytuacji uczynił Gaworski. Flaszera walczy w gruncie rzeczy z wiatrakami, trzeba sobie to wyraźnie uświadomić.

II

Na Plenum mówiło się dużo o redakcjach. Redakcje, jak redakcje, wolał nie zamieszczać artykułów czasem ostrych w swej jednoznaczności, bo nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Z dwójga złego wolał mętniacki artykuł, z którego nikt nigdy niczego nie może zrozumieć. Na ogół czytelnik odrzuca taki artykuł po 2-godzinnym studiowaniu z podręcznikiem logiki w ręku. Przykład: artykuł Sandauera w „Nowej Kulturze” (nr 2). Sandauer zdecydował się powrócić z fusów o treści i formie. Oto rozważania autora na temat, jakie konsekwencje wypływają z naczelnego postulat estetyki marksistowskiej:

Cytujemy Sandauera: „Jeżeli wszelka niedoskonałość artystyczna wynika z usterek ideowych, to stąd wniosek, że „każda treść jednolita, nosi w sobie zarzysy swej przyszłej organizacji i że zatem może się ona wyrazić w jednej tylko koniecznej formie”.

1) Wniosek nie wypływa logicznie z przesłanki. 2) Wszelka treść jednolita czy niejednolita może wyrazić się tylko w jednej formie, w dwóch na pewno nie. 3) Sugeruje się tutaj marksistowskiej estetyce jakąś teorię predestynacji. Nie wiemy co oznacza „treść jednolita”. Jeśli chodzi o jednolitość ideologiczną, to wtedy przykład „Pana Tadeusza”, przeciw niejednolitości ideologicznej jest nie na miejscu. Nie wiemy, czy krytyk obraca się w ramach literatury realizmu socjalistycznego, nie ustalił bowiem w ogóle historycznie zakresu swych rozważań. Zamęt do pełni brak sprecyzowania terminów, określenia treści i formy, jednoznaczności określenia jednolitości treści itp.

Całą kolekcję podobnych pytań i wątpliwości można by postawić pod adresem większości sformułowań i terminów używanych przez Sandauera. Ogólnie, rozważania są zupełnie ahistoryczne tak, że nie można nawet przy dużej dozie dobrej woli zrozumieć, kiedy Sandauerowi chodzi o poetykę realizmu socjalistycznego, a kiedy o jakąkolwiek inną, nie pytając już w ogóle o jaką.

Ze słusznego stwierdzenia, cytowanego na początku, autor wyciąga nieprawdziwy wniosek o „jednej, koniecznej formie”. Teza ta może dać według Sandauera następujące wyniki, albo pisarz staje się obiektywnym idealistą („forma” zyskuje dlań (dla pisarza) byt idealny, wyprzedzający jej realizację w czasie”, „dzieło... staje się realizacją przedustanowionej idei”), albo powstaje normatywna poetyka ahistoryczna, „poetyka dobrego poziomu”, która posługuje Sandauerowi do dalszych rozmyślań. Oto wyniki rozważań nad naczelnym postulatem estetyki marksistowskiej. Czytelnikowi pozostaje w pamięci: ahistorczność, mętniacka żonglerka

NA MARGINESIE PLENUM ZLP

terminami i absolutny brak zdolności logicznego wykładu myśli.

Jedno jest tylko jasne: sens polityczny tego artykułu sprowadza się do sugerowania marksistowskiej metody badań literackich idealizmu obiektywnego. Za tym „prześnięciem” filozoficznym kryje się zawołany atak na normatywność poetyki realizmu socjalistycznego. Objawia się on w maksymalnej aluzyjności wszystkich stwierdzeń, w sugerowaniu w najmniej odpowiednich miejscach, że mowa jest o metodzie realizmu socjalistycznego, w tym wreszcie, że poetyka „dobrego poziomu” jest tworem ahistorycznym. Nie ma to wszystko nic wspólnego z partijną, bojową nauką o literaturze. Być może, że dla czytelnika nawet ten sens wyuścisnąć będzie trudno. Tym ostrzej trzeba podobne praktyki napędzać.

Wywody te potrzebne były Sandauerowi po to, aby przeprowadzić samokrytykę wobec swego stanowiska w latach 1948-49. Cytujemy Sandauera: „To też obrona poziomu (A. Sandauer - przypisek mój - M. P.) stał się wówczas obiektywnie obroną powieści mieszczańskiej i jej techniki psychologicznej, tej samej, którą tyłokrotnie zwalczał, a której był i wówczas subiektywnym przeciwnikiem”. Sandauer nie postuluwał poziomu przy pomocy jednego tylko słowa „poziom”, które mogłoby być wieloznacznie rozumiane, jak podawany przez Sandauera przykład ze słowem „wolność”. Postulował poziom w ramach określonej poetyki mieszczańskiej w całym szeregu artykułów.

Dwuznaczności tutaj żadnej być nie może. Zrucenie odpowiedzialności za swe błędy na mieszczańskiego czytelnika, który jakoby po swojemu to hasło poziomu rozumiał, nie może być uważane za samokrytykę, gdyż istnieł wtedy w Polsce czytelnik inny niż mieszczański, który zrozumiał to że to swemu i rozumieją to tak do dziś. Czytelnik Polski Ludowej oczekiwał i oczekuje od Sandauera samokrytyki, należytego wyciągnięcia wniosków ze swych błędów. Rozważania przez nas artykuł jest dowodem, że krytyk nie posnął się w swym rozwoju naprzód „Nowa Kultura” powinna była umieścić ten artykuł jako artykuł dyskusyjny.

III.

„Wolność jest to uświadomienie na konieczność”.

K. Marks

Jan Kott, zanim zajął się na plenum problemem indywidualnych gustów krytyki-marksisty, próbował usprawiedliwić niektóre błędy naszych krytyków zjawiskiem, które nazwał jakąś „skłonnością do złoego”, tj. zamiłowaniem do krytykowania książek złych, a nieporadnością w wydobyciu wartości utworów dobrych. Przelatując toż, jego zdaniem, tylko przez

pozostawienie krytykowi może „niesprawiedliwego”, lecz szczerzego i pełnego pasji zachwytu dla książek, które mu się naprawdę „podobają”.

Teoria gustu indywidualnego u literaturoznawcy marksistowskiego wyglądałaby w tym ujęciu mniej więcej tak: w ramach nurtu realizmu socjalistycznego krytyk ma prawo do subiektywnej oceny, tzn. ktoś może np. bardziej lubić Szolochowa niż Gorkiego. Przytaczam ten rzeczywisty trudny wypadek, bo w przypadku wyboru między Czechką a Żesławskim ocena musi iść po linii obiektywnej wartości książek, jeśli krytyk ma w ogóle głowę na karku.

Gorki i Szolochow obaj równie prawdziwie i doskonale pokazali nam człowieka socjalizmu. Cóż więc poza obiektywną i „sprawiedliwą” oceną wielkości obu pisarzy może napisać krytyk lubiący bardziej Szolochowa niż „Och, jak lubię Gorkiego”. (Rosjanie nazywają tego rodzaju praktyki „achaniem” i „ochaniem”). Jeżeli zaś prof. Kottowi uda się udowodnić w sposób naukowy, że Szolochow ma mu się prawo podobać bardziej niż Gorki, proszę bardzo, ale to już nie będzie subiektywna ocena. W przeciwnym razie musimy powiedzieć za Boy'em, który parafrazując znane słowa Goethego tak rozstrzygnął spór o wyższość Mickiewicza czy Słowackiego: „Cieszyć się, że macie takich dwóch hycłów”.

Problem staje się fikcyjny. Byłoby to ostatecznie obojętne, gdyby mowa nie postuluwała tego w praktyce recenzyjnej, a posunął się tu do sformułowania, które trzeba uznać za niesłuszne. że przy jasności sądu politycznego krytyka, ma on całkowitą wolność sądu artystycznego. Nie widzimy powodu, aby krytyk narzucał swoje subiektywne gusty czytelnikowi, który ma także do nich prawo, a tego rodzaju dyskusja mogłaby doprowadzić do wykrzykiwania swoich zachwytów. A już zupełnie przestrzec by należało przed wkładaniem w subiektywne sądy owej pasji, o której tak dużo mówiono, tym bardziej, że czytelnik ma też do niej prawo.

Słusznie twierdził prof. Kott, że pasja powinna wypływać z namietności ideologicznej i politycznej, że zrozumienia tego, co nowe, co istotne i piękne. Taka pasja powinna kształtować indywidualny gust krytyki. Chodzi o to, aby gust ten zgadzał się z obiektywnymi wartościami dzieła sztuki. Nie innego w tej dziedzinie postulować nie można. Z tego zespolenia subiektywnych gustów z wielką obiektywną wartością dzieł literackich - płynęła pasja najgenialniejszych krytyków-rewolucjonistów: Bielińskiego, Dembowskiego, Czernyszewskiego, Dobroliubowa.

Marek Pieczyński

RYSZARD PRZYBYLSKI

O SPRAWACH PODOBNO ZNANYCH...

W dyskusjach na ostatnim Plenum ZLP wskazywano niejednokrotnie - wśród innych istotnych niedomagań naszej współczesnej krytyki - na jej charakterystyczną polowiczność. Krytyka najczęściej ogranicza się do oceny ideologicznej, do politycznego sprawdzenia tez i konfliktów książki - co daje wyniki często słuszne, ale jednostronne i niepełne. Ale groźniejsza jest jeszcze zjawisko wprost przeciwnie - rozmyślanie oceny ideowej w estetyzujących grymach, w balamutnej a nieścisłej terminologii oceny rzekomo formalnej a właściwie poformalistycznej. Po pracach Józefa Stalina o językoznawstwie, które w dziedzinie nauki o literaturze wywołały m. in. wzrost zainteresowań dla problemów marksistowskiej estetyki, które wzmogły świadomość konieczności dokładniejszego opracowania zagadnień specyfiki formy literackiej, w toku dyskusji różni jawni i ukryci formalisci usiłowali nam nieraz podpuścić „kukuluze jaja” formalizmu. Wszak nawet w czasie obrad minionego Plenum A. Sandauer i A. Watt dowodzili, że obecnie przeżywamy epokę, która uprawnia do nawiązywania do „tradycji” formalizmu.

W tych warunkach recenzenct, jeżeli nie popadnie w marksistowskie mętniactwo - prowadzi z autorem dyskusję polityczną. W wielu wypadkach stwierdza w najlepszym razie istnienie pewnych niedociągłości formalnych, kwitując je ogólnikowym frazesem - że są to skutki ideowej niedojrzałości pisarza. Tymczasem bez szerszej publicznej dyskusji przemieniają bardzo ważny artykuł M. Kierczyńskiej w 44 N-rze „Nowej Kultury” p.t. „Nie wolno wulgaryzować”. Autorka nie podjęła niewątpliwie koniecznej polemiki z ogólnikowością i - by użyć popularnego określenia - schematyzmem w stosowaniu twierdzenia o „niedociągłościach formalnych” przez naszą krytykę, zakwestionowała natomiast z góry jego celowość i sensowność. Sprawa ta zachęca o podstawowy element estetyki marksistowskiej - o sprawę stosunku treści do formy.

Przewijała się ona na marginesie dyskusji plenarnych, stanowiła podskórny nurt wielu wypowiedzi, postulatujących rewizję dotychczasowej praktyki recenzyjnej. Plenum sprawy tej nie rozwiązało - bo zresztą rozwiązywanie ogólnych problemów teoretycznych nie leżało ani w jego planach, ani możliwościach. Dostatecznie wyrażnie zasygnalizowało jednak konieczność podjęcia dyskusji w szeregu węzłowych punktów teorii literatury.

Niewątpliwie warto dlatego nawrócić do sprawy podjętej we wspomnianym artykule M. Kierczyńskiej, gdyż autorka krytykowała praktycznie bardzo rozpowszechniony sposób postępowania naszej krytyki, podsuwając inne możliwości oceny błędów artystycznych współczesnej literatury. Niedopowiedzenie sprawy do końca, powołując się na temat zagadnień poruszonych w tym artykule, wywołało sporą dezorientację wśród krytyków, która w dalszej dyskusji musi zostać wyjaśniona.

M. Kierczyńska wcieliła dwa stanowiska w kwestii wzajemnego związku ideologicznego i artystycznego błędów dzieła literackiego w postaci dwóch dyskusantów. Jeden z nich - wulgaryzator - Y twierdzi: „Jeśli sztuka jest słaba pod względem artystycznym, nie może być dobra ideologicznie”. Jednakże - zwłaszcza na obecnym etapie rozwoju naszej literatury - podejrzewanie Y-a o wulgaryzację nie wydaje się być słusznym. Zajmiemy się tym zresztą potem.

Oponent Y-a - X, którego zdanie nie podziela autorka, twierdzi: dzieło literackie może być dobre ideologicznie, chociaż słabe artystycznie. Słuszając artykuł Burowa M. Kierczyńska pisze we wnioskach, obrazując proces ideowego dojrzenia pisarza: „Pojęcia słuszne, których się twórcą w tych warunkach jako nowych pierwiastków swojego myślenia doprawował, zajęły może trwałe miejsce w arsenale jego logicznej myśli, nasycały się nawet wyraźną emocją, ale pozostają w o wiele większym stopniu myślą bezobrazową (ręcz jasna, całkowicie bezobrazowa nie będzie nigdy), aniżeli inne

tereny dotychczasowe, dawno zdobyte tereny jego doświadczenia. Wówczas często zamiast pełnokrwistej postaci czy sytuacji mamy bladą egzemplifikację lub wyidealizowaną w odautorskim komentarzu. Tu kryje się jeden z możliwych powodów niedoradzania formy artystycznej do ideologicznej treści. Czy można wówczas mówić o tym, że strona ideologiczna jest dobra? W pewnym sensie rozumie się, że tak. Będzie za mało sugestywna, ale może być słuszną, może operować dobrze pomyślanymi i prawidłowo rozmieszczonymi akcentami”.

Autorka trafnie udawadnia na początku, że określone ideologiczne momenty w procesie powstawania dzieła literackiego powodują określony artystyczny niedowład, niedowład obrazu artystycznego. Niedowład obrazu artystycznego musi w zakończonym dziele literackim powodować mniejsze lub większe zniekształcenia ideologii, gdyż ideologia w zakończonym dziele literackim istnieje i jest wyrażona niemal w formie obrazu artystycznego. Jest on terenem, na którym nierozdzielnie wiąże się treść z formą.

Nieporozumienie wypływa tu z braku należytego oddzielenia procesu powstawania dzieła literackiego od problemu podstaw jego oceny krytycznej. Opisane przez autorkę zjawisko niewspółmierności między „myślami”, „intelektualną” dojrzałością autora a niemożnością wcielenia jej w pełny obraz artystyczny ma z pewnością nieraz miejsce w subiektywnym przebiegu procesu twórczego. Nie manifestuje się to jednak w dziele, gdzie słuszne tezy zostają w „błędnej egzemplifikacji” nieuchronnie zubożone i skrzywione. Ocenę zaś przeprowadzamy na zasadzie obiektywnej społecznej wartości dzieła sztuki i jego walorów poznawczych.

Stanowisko X-a na obecnym etapie byłoby minimalizmem estetycznym. Uświadczenie tego stanowiska było błędne nawet w przeszłości, holdowało bowiem słabości naszej młodej literatury. Co innego bowiem rozumienie nieuchronności tego zjawiska w procesie rozwoju

naszej młodej literatury realizmu socjalistycznego, a co innego bezrefleksyjne pobieżanie jego obiektywnym skutkom w ocenie wartości dzieła. I dlatego Flaszera w swoim artykule o schematyzmie miał rację, gdy oskarżał krytykę o kanonizowanie błędów.

Nieporozumienia te były i są możliwe, ponieważ pojęcia treści i formy nie są w świadomości naszych krytyków należyście sprecyzowane. Dlatego stosunek między nimi, również niesprecyzowany, nie mógł stać się prawidłową podstawą oceny przy wartościowaniu utworu literackiego.

Bo wbrew dotychczasowej powszechnej opinii, że sprawy te są dostatecznie jasne, Plenum udowodniło coś wręcz przeciwnego. Słusznie zwrócono uwagę na to, że wskutek braku teoretycznego oparcia zagadnienia stosunku treści i formy, ocena ideologiczna utworu sprowadza się tylko do odczytania bardziej deklaracyjnych dialogów czy monologów bohaterów i publicystycznych komentarzy odatorskich.

M. Kierczyńska podała w swym artykule słuszną definicję treści sztuki: jest to „najogólniej biorąc, rzeczywistość cała, w tym jednak aspekcie, że wszystko, co staje się treścią sztuki, jest tak czy inaczej odniesione do człowieka, człowieka, jako całości kształtu stosunków społecznych” (Marks). Stwierdzenie to będzie punktem wyjścia dalszych rozważań w tej kwestii.

Specyfikę literatury stanowi to, iż przedstawia ona rzeczywistość przy pomocy obrazu artystycznego. Obraz literacki należy tu rozumieć w szerszym zakresie, jako sytuację, zdarzenie itp., a nie jako całość dzieła literackiego, bo spotkać się można i z takim rozumieniem tego terminu. Każdy element dzieła literackiego jest jednocześnie treścią i formą. Rozróżnienie opiera się na funkcji tego elementu w dziele literackim. O ile rozstrzygniemy element w jego funkcji poznawczej, o ile jest on odbiciem rzeczywistości - o tyle składa się on na treść dzieła literackiego. O ile dany element rozstrzygniemy w jego stosunku do innych elementów dzieł literackich, w jego funkcji

organizującej obraz artystyczny i ideologicznej w taki a nie inny sposób, o tyle jest on formą. Dany element dzieła literackiego rozpatrywany z punktu widzenia formy, pełni swą funkcję służebną nie wobec treści, którą sam reprezentuje, ale wobec poznawczej strony innego elementu - w tej zależności nadzadanie.

Weźmy epitet, którego funkcja polega na uzupełnianiu i kształtowaniu znaczenia pojęć istotnych w konstrukcji obrazu artystycznego, np. „złoty księżyc”. Treścią jego będzie powiadomienie o jednej z cech rzeczywistości - tzn. o kolorze - o tyle też ma on charakter „treści”. Epitet w swej funkcji określającej związany jest z przedmiotem, formą będzie więc w danym wypadku stosunek epitetu do wyrazu określanego, a więc „księżyc”. Ponieważ epitet jest najdrobniejszą częścią obrazu artystycznego i w dziele literackim w odrywaniu od wyrazu określanego nie istnieje, rozpatrujemy go zawsze z punktu widzenia formy, kwalifikując go estetycznie na zasadzie jego realistycznych wartości.

Weźmy dalej kompozycję. Zdawałoby się, że jest ona elementem wyłącznie formalnym, jest ona bowiem funkcją elementów dzieła, ustawiającą wzajemny stosunek całej wielostronnej rzeczywistości, zawartej w poszczególnych obrazach i ich składnikach. Kompozycja jest w dziele literackim pewną abstrakcją i nie da się jej bezpośrednio (jak np. obrazu) odnieść do rzeczywistości, a jednak decyduje ona o wartości poznawczej utworu. Treścią kompozycji będzie ta abstrakcyjna wiedza o rzeczywistości, jaka istnieje w formie logicznych uogólnień (idąc za sformulowaniem Burowa) u pisarza w trakcie powstawania utworu. Jest ona więc przetransponowaniem ideologii pozaliterackiej na ideologię dzieła sztuki.

Rozumując w ten sposób widzimy, iż każdy, nawet najdrobniejszy element dzieła literackiego, wpływa w mniejszym lub większym stopniu na ideologię.

Epitet lub metafora, jak większość zjawisk z zakresu języka, a ile w powieści nie przybiora ma-

skiego charakteru, mogą - i tu zgodzimy się częściowo z M. Kierczyńską - nie wpływać bezpośrednio na ideologię, a osiadać tylko jej sugestywność. Naturalnie epitet i metafora już na terenie poezji nabiorą pierwszorzędne znaczenia. Nierealistyczna metafora w liryce decyduje o jakości, niezgodnej z rzeczywistością koncepcji obrazu artystycznego. Ten sam fakt w powieści będzie tylko przykrym potknięciem. Należyte zrozumienie stosunku formy do treści pozwoli na lepsze zrozumienie odrębności gatunków.

Ale np. sytuacja, czy każdy inny element z zakresu kompozycji, w swej funkcji formalnej decyduje w sposób bardzo istotny o prawdziwie odzwierciedlonej rzeczywistości, a tym samym decyduje o ideologii. Nie można tu mówić tylko o mniejszej lub większej sugestywności, chodzi tu o prawdziwość i przede wszystkim o prawdziwość. Stąd głęboko słuszne stwierdzenie M. Kierczyńskiej w tym samym artykule, że w naszych utworach szwankuje najczęściej strona ideologiczna. Ale pisząc, iż mamy do czynienia z „dość częstą dysproporcją walorów treści i formy (bynajmniej nie zawsze na korzyść strony ideologicznej, często ta właśnie strona w utworach szwankuje)”, autorka rozpatruje też dysproporcję poza zależnością treści i formy. Autorka oceniała ideologię dzieła literackiego jako ideologię twórcy w procesie tworzenia, a sam proces tworzenia jest przecież procesem przenoszenia ideologii w formie logicznej - abstrakcyjnej na ideologię w formie obrazu artystycznego. Na podstawie tej ostatniej wypada nam wskazać wartościocność dzieła literackiego. W ten sposób artykuł częściowo губи specyfikę literatury.

Dalsza dyskusja i uściślenie poruszanych tu zagadnień jest konieczne. Rozstrzygnięcie ich będzie też miało pierwszorzędne znaczenie dla praktyki recenzyjnej. Uzmąskowił bowiem recenzenctwo bieżących nowości potrzebę i sens analizy formalnej, która zawsze sprowadza się do prawidłowego odczytania ideologii.

Ryszard Przybylski



PAULINA CZYŻOWA

Agitator książki

ZYCORYS Józefa Szczudły skreślony przez niego niezbyt uprawną w pisaniu ręką jest wspaniałym przekrojem rzeczywistości Polski przedwojennej. Na łach bowiem swego dzieciństwa i światopoglądowego dojrzewania piszący zatrzymuje najwięcej uwagi. I chyba słusznie. To dzieciństwo bynajmniej nie sielsko anielskie, a młodość nie górna — ukształtowały jego oblicze, jako proletariusza. Pochodząc ze wsi, z majątku wielkiego obszarnika, przeszedł przez szereg mieścin kresowych, gdzie rodzina jego zwiększyła zastęp sfer leżącej na pograniczu klasy robotniczej i drobniomieszczaństwa, następnie rzucony na bruk Warszawy przeszedł całą gorzką epopeję tzw. dziecka ulicy, przeszedł pierwszy chrzest ideologiczny — zniszczając jeszcze niezbyt świadomie w zakazanej manifestacji 1-majowej. Opis tej manifestacji przeżytej i widzianej oczyma dziecka, które patrząc na pokrywających robotników i pały policyjne — przestaje być dzieckiem, staje się świadomym proletariuszem — to najmocniejszy, kulminacyjny moment zycorysu. I trzeba tylko iskry łada książeczki opisującej prawdę o krzywdzie i wyzysku w ustroju kapitalistycznym, aby umysł tego młodego proletariusza stanął w płomieniach nieugaszonych odłąd żarliwości chłonięcia z książki prawdziwej prawdy o życiu.

Piszący swój zycorys Józef Szczudły jest dziś działaczem kulturalnym na wsi, jest człowiekiem, który pragnie propagować swoją pasję życiową — książkę w swoim środowisku. Nie zausne mu się to udaje, w liście pobrzmiewają jeszcze niepowodzenia i trudności. Boli go obojętność lub wręcz niechętny stosunek do spraw kultury — otoczenia, zwłaszcza starszych. List nie waha się pokazywać tych realnych trudności — np. trudności komunikowania się w terenie z odległymi punktami sąsiednich wsi, częste działanie jakby w próżni społecznej bez poczucia oparcia u miejscowych władz. Dlatego też osiąga się wrażenie, że aby być prawdziwym propagatorem kultury w terenie, nie wystarczy być przeszkolonym na kursach fachowcem czy instruktorem. Trzeba być do pewnego stopnia i w szczytnym znaczeniu tego słowa — mamiakiem spraw kultury, mamiakiem książki. Bez tej pasji, bez tego uporu i niezależności wewnętrznej — działacz kulturalny na bardziej głębokiej, zacofanej prowincji łatwo utonąłby w obojętnej atmosferze środowiska. Na podstawie tego i wielu innych listów na temat czytelnictwa, jakie otrzymujemy, zdajemy sobie sprawę, że problem propagandy książki w terenie, zwłaszcza na wsi jest ciągle jeszcze sprawą bardzo poważną i trudną. Nie wolno nam przyniknąć oczu na to, nie doceniając także samodzielnego często wysiłku bibliotekarzy i innych miłośników książki.

Podstawę rozwoju czytelnictwa w terenie położyły dwa fakty ustawaowe. Likwidacja analfabetyzmu i powstanie kraju sieci 1600 bibliotek gminnych i 20.000 punktów bibliotecznych. Likwidacja analfabetyzmu to poszerzenie bazy czytelnictwa, uczenie czytelnictwa faktycznie masowym. Sieć biblioteczna — to jedna z najprostszych dróg docierania książki do tego masowego czytelnika. Nie wystarczy jednak fakt istnienia bibliotek. Biblioteka lub punkt biblioteczny — to jedno, korzystanie z niego, wyciągnięcie ręki po książkę — to drugie, nie pokrywane przez państwo, nie pokrywane w pełni w zupełności z pierwszszym zagadnieniem. Tu właśnie jest miejsce i konieczność na ową namiętną robotę propagatorską. Tu przysięść musi człowiek, który całą swoją postawą, powagą i autorytetem zdobył swoje środowisko dla książki. Konkursy Czytelnictwa Samopomocy Chłopskiej, wypowiedzi ich uczestników, z których jednym jest autor zamieszczonego poniżej listu — Józef Szczudły, ukazują obok niewątpliwych, dających się ująć liczbami osiągnięć — wielkie trudności działaczy kulturalnych w terenie. Trzeba im przysięść z pomocą. Trzeba wydobyć ich pracę z ukrycia, pokazać pełne postacie niektórych z nich, pokazać, skąd się bierze ich pasja do książki, ich siła w powołanym ale nieustannym oddziaływaniu, drażniącym opinię wsi. Jedną z takich klasowo uwarunkowaną drogą do książki przedstawia nam w swoim barwnym zycorysie Józef Szczudły. Na inne podobne listy z terenu czekamy, spodziewając się dzięki nim wzbogacić naszą ogólną wiedzę o obecnej rzeczywistości kulturalnej Polski Ludowej, spodziewając się dzięki nim wskazać badaczom, praktykom społecznym i pisarzom — rozdział pięknej problematyki rewolucji kulturalnej w Polsce.

Paulina Czyżowa

JÓZEF SZCZUDŁO

DROGA DO KSIĄŻKI

URODZIŁEM się 1.1.1923 roku we wsi Suchowola powiat Radom (Podlaski) woj. lubelskie. Matka moja pracowała u księcia Czetwertyńskiego jako niania i ojciec pracował w tym samym majątku. Ale ojcu nie po-dobała się robota w majątku i wyjechaliśmy do miejscowości Działoszyce w pow. pińczowskim. Tam ojciec dostał pracę jako dozorca kamienicy a mamusia praca bielizną i w ten sposób zarabiała na chleb. Ja wtedy zacząłem chodzić do szkoły, ale chodziłem tylko 4 lata, bo rodzicom było za trudno nas posyłać. Oprócz mnie było jeszcze 5-6 dzieci, które też potrzebowały nauczyć się, chociaż podpięć. Mój ojciec dążył do tego, aby żadne z dzieci nie pozostało analfabetą, choć w tej miejscowości bardzo wiele dzieci do szkoły nie chodziło. Ojciec był kiedyś w Rosji i tam pracował w księgarni i często brał udział w kółku teatralnym i dlatego potem nas tak prowadził do kina i czytał dużo książek i chciał żebyśmy i my czytali. Z Działoszyce wyjechaliśmy do miasteczka Parczewa woj. lubelskiego, gdzie tatuś był w magistracie za woźnego a starsza siostra pojechała do Warszawy na służbę. Słyszałem dużo o tej Warszawie i zapragnąłem do niej pojechać, ale w jaki sposób, kiedy pieniędzy nie było. Ale przypomniałem sobie, jak ojciec mi raz czytał książkę o pewnym chłopcu, który z jakiejś zapadłej wioski pojechał do innego kraju w poszukiwaniu chleba, bez pieniędzy tylko pod ławką. Więc i ja zaryzykowałem, gdy pociąg ruszył ze stacji, schowałem się pod ławkę i zjechałem do samej Warszawy. Adresu siostry nie wiedziałem, bo wyobrażałem sobie, że Warszawa to takie miasto jak Parczewo albo Czemierniki, ale dopiero język po pas wywiłem, jak zobaczyłem różne światła i hotel w Al. Jerozolimskich koło dworca. Daję słowo, że nie wiedziałem jak się mam obrócić. Dopiero rano przejrzałem trochę na oczy, ale jeśli mi się chciało a pieniędzy nie miałem. Jak tu żyć i gdzie spać? Ale i tu wiedziałem z książki, w jaki sposób biedni ludzie zarabiali na swoje życie i utrzymanie rodziny w innych krajach więc i ja zmuszony byłem iść pod dworzec i czekać, jak kto miał dużo bagażu to podchodziłem i pytałem, czy czasem nie odnieść. I owszem, w taki sposób zarobiłem ładną parę groszy, ale cóż z tego, kiedy policja nas stamtąd przeganiała i trzeba było poszukać sobie coś innego. Nie miałem skończonych 7 klas szkoły powszechnej i co gorsza nie posiadałem żadnych dokumentów, ale w tym schronisku gdzie spałem, to jest na Wolności nr 14 było nas takich więcej i raz zauważyłem u mych kolegów, że noszą na kłapię marynarki jakiś numer i napis „Ruch” więc zapytałem, co to ma znaczyć i gdzie pracują a oni zaczęli opowiadać różne głupstwa. Ale jak się naśmiali pod dostatkim, to mi powiedzieli, że sprzedają gazety i dobrze na tym wychodzą, jak bym chciał, to mogę się do nich dołączyć i pomóc im sprzedawać. Zgodziłem się na to i tak jeden i drugi dzień uczyć się sprzedawać. Trzeciego dnia podchodził do mnie jeden pan i pytał, czy tymczasem nie chciałbyś sprzedawać innej gazety, a ja na to jak na lato, już otrząśniętym się po najgłośniejszej dzielnicy Warszawy i jakoś mi szło. Więc ten pan mnie zawezwał na ul. Zgody czy na inną ulicę i sprzedaliśmy my różne pisma, ale jakoś mi nie szło. Bo ludzie nie bardzo chcieli kupować. Aż pewnego dnia, którego z tych pism zostało skonfiskowane, a ja dopiero się dowiedziałem, jak maie agent złapał i zaprowadził do komisariatu i zabrali mi gazety a mnie, jako małoletniego i nie posiadającego żadnych papierów, dali do Pogotowia dla nieletnich, a stamtąd odstawili do rodziców. Ale ojciec też się wy-bierał do Warszawy, bo siostra pisała, że ma dla nich robotę u znanych, więc pojechaliśmy. Ja zaraż myślałem, że będziemy mieć mieszkanie, ale oszukano się, bo mamusia poszła do jednego z ludzi na służbę, a ojciec z bratem poszli szukać sobie mieszkanie u ludzi razem na Przemysłowej, a ja mieszkałem na Wolności i dalej sprzedawałem gazety. Potem ojciec dostał pracę w „Wieczorze Warszawskim” na pakowni czy w jakimś innym dziale i robił jakiś czas aż się przeziębził i umarł. Pozostaliśmy my we czworu. Mama i siostra pracowały, młodszy brat chodził do szkoły na Czerniakowskiej a ja, jak zwykle sprzedawałem gazety, ale długo też nie, bo nie miałem numeru, policjanci mnie złowili i dali mnie do zakładu, gdzie trochę uczyłem się uczęszczając do szkoły. Długo tam nie byłem, bo nie miał kto za mnie płacić i mnie zwolnili. Pewnego razu spotkał mnie pewien pan i zaproponował mi, żebym sprzedawał książki. Zgodziłem się, ale zarabiałem bardzo mało, bo mało kto kupował. Każdy, kto miał parę groszy, to musiał trzymać na życie a nie wydawać na książki. Razu pewnego idę do schroniska na Wolność, tu mnie zatrzymuje jeden jegomość i pyta mnie, jak ja zarabiam i skąd jestem, co rodzice robią, w ogóle od samej młodości opowiadałem mu swoje przeżycia, które mu się spodobały, bo zaraz mnie zaprosił

na kolację i tam zapytał, czy bym nie chciał zarobić parę złotych, a ja na to jak na lato, więc zgodziłem się, ale nie powiedział mi, co będę robił, tylko powiedział, żebym poczekał na rogu Ogrodowej. Poszedł i przyniósł mi plikę ulotek, żebym to rozdał moim kolegom i razem żebyśmy rozniesli to po bramach i ludziom biednym, ale zaznaczył, żeby nas „głina” nie złapała. Wziąłem to razem z kolegami, poszliśmy z tymi ulotkami za pazuchą pod paskiem i komu u-ważaliśmy, to daliśmy albo kładliśmy do środka gazety za pięć groszy, bo tę gazetę to przeważnie kupowali robotnicy. Długo nie

Kiedy ogłoszono konkurs, to nawet mnie wysłi, że nie pilnuję roboty w polu, tylko w pana się obracam i łażę z książkami. Ale trudno, nieraz to mnie tak przezwali, że aż mnie to zezłościło i choć poszedłem, wracałem na drugi dzień.

Tak się przy tym napracowałem, że mnie aż rozchorował, a teraz wszystko minęło i zebrałem do konkursu 15-16, ale najczęściej to rozpowiewałem się książki rolnicze, strażackie i sportowe. Dostaliśmy w nagrodę siatkę i piłkę, ale nie ustajemy w pracy i bierzemy udział w II etapie konkursu, może szczęście nas nie ominie



sprzedawaliśmy, bo akurat, kiedyś mi szli Okopowa, jeden z kolegów związa a granatowy za nim i gwizdał. Więc my za parkan i po ulicy rozrzućli i związli. Ja wtedy jeszcze nie rozumiałem, o co to się rozchodzi, ale dopiero mi starsi koledzy powiedzieli i zaproponowali, ażebyśmy jutro poszli z nimi i książki swoje zostawili w Ognisku. Nie mogłem w tę noc spać i tego dnia, kiedy dojechałem, ale nad ranem trochę usnąłem i nawet nie słyszałem, jak koledzy wstawali. Obudzili mnie i poszliśmy do kawalerki na kawę, ale ten dzień był taki miły, jakby było święto. Policji po ulicy pełno, po bramach, na koniach a nawet Gołdźników i inni brali udział, a ja dalej nie mogłem tego wszystkiego zrozumieć, pomimo że starsi tłumaczyli mi o co się tu rozchodzi, ale co baranowi tłumaczyć. Ale i tak przedko się to wyjaśniło, bo zsiłszyśmy tłum ludzi, którzy kroczyli środkami ulicy i coś śpiewali. Myśmy szli kawalek z nimi. Potem poszliśmy koło Hali Mirowskiej i poszliśmy w śródmieście. Idzie-my tak Nowym Światem do Al. Jerozolimskich a tu naraż i stąd pochodzi i z bram jacyś studenci i z placu Trzech Krzyży nadciągali — więc trzymałem się na rogu i gapię się, a tu jak nie rabnie petarda, aż podskoczyłem do góry. Patrzymy, a tu granatowi pałkami leją i łapią. My nogi za pas i jechać w stronę dworca. A tu pełno ludzi pokrywających ucieka, gdzie kto może. Dopiero trochę mi się wyjaśniło. Zrozumiałem, że są tacy, którzy walczą o lepsze jutro dla swoich bliźnich. Po tym wszystkim dostałem jedną książkę do czytania i nie wiem, czy ona na mnie tak podziałała, czy otęczenie, czy moje własne życie, że musiałem się sam wychowywać i starać się o chleb dla siebie a czasem dla młodszych kolegów. Ta książka była o tym, jak w Brazylii czy gdzieś w innym kraju grupa ludzi, a byli to Rumuni, zawarli kontrakt i wyjechała na roboty, a tam nad nimi zeznali się i bili. Czytałem tę książkę z takim zainteresowaniem, jak bym sam to przechodził i zaraz starałem się o inne książki, które opisywały biedę i wyzysk ludzi biednych, albo bezrolnych i w ten sposób zdobyłem zamiłowanie do czytelnictwa.

Jestem obecnie komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej i przewodniczącym Ludowego Zespołu portowego i teraz byłem w Nie-wieście pow. Świdwie na kursie masowego śpiewu wiejskiego. Jestem też kierownikiem zespołu czytelnictwa, który bardzo kocham, bo bieda mnie nauczyła, co to znaczy poznać i umieć czytać. Jestem w mojej gromadzie korespondentem Rolnika Polskiego i gazety Zielonogórskiej, piszę do Gromady i do innych pism jak Zieleny Sztandar itd.

W jaki sposób przystąpiłem do założenia Kółka Czytelnictwa w naszej Gromadzie. Otóż zstąpiłem powiadomionym jako przewodniczącym, że odbywa się konkurs bibliotek wiejskich, w którym możemy wziąć udział i dostaniemy nagrodę.

i wylosujemy jaki radioodbiornik czy rower.

Bardzo jestem wdzięczny za udzielenie mi kursu śpiewaczego dla wiejskich chórów i kapel. Właśnie organizuję zespoły po innych wioskach i chce, ażeby każda gromada posiadała takie koło dobrego czytania. W naszej okolicy założyłem w Borowcu koło, które liczy 23 członków, w Rożanówce — 7, w Plek-nych Kątach — 10 członków. Mam trudności, bo nie posiadam własnego roweru, ale pożyczam, bo te gromady są oddalone o 5 km, w różnych kierunkach, a nieraz to mi się coś popsuje i tracę dużo czasu.

A teraz parę słów o tych, co biorą udział w konkursie czytania. Jest to przeważnie młodzież, są i starsi, a tych starych trudno nakłonić do czytania, bo się wstydzą. Co rozumieją, to się przyłączają do nas i bardzo chętnie czytają o hodowli świń, owiec i bydła, ostatnio zauważyłem, że biorą książki rolnicze i pytają o inne, których nam brak.

Moim zdaniem, to ludzie więcej by czytali, ale za mało jest propagandy w naszej gromadzie a zwłaszcza wśród starych.

Józef Szczudły

wies Siedlisko, pow. Głogów

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

Z doświadczeń bibliotekarza

PODSTAWĘ naszej biblioteki — pisał nauczycielka — bibliotekarka gminna z wój. białostockiego — stanowiły w latach 1945—1947 książki z rozparcelowanego majątku. Przeważnie stanowiły powieści typu Rodziewiczówny, Mniszkówny, Marceżyńskiego, Deł. Rzecz jasna, że w tym pierwszym okresie ta długolletnia strawa panie-ców zaczęła spływać i nasza młodzież wiejska. Nie tylko zresztą młodzież. Gdy już w 1948 roku zlikwidowano analfabetyzm, w gminie były to, niestety, nieraz pierwsze w życiu czytelników.

Zadajemy sobie sprawę, że gmina, o której pisał autorka listu nie znajdowała się na tym odcinku sytuacji wyjątkowej. I nie to jest ciekawe. Czytajmy jednak dalej:

„Po pewnym czasie, gdzieś w 1948 roku, mimo zlikwidowania analfabetyzmu, czytelnictwo zaczęło nagle spadać, chociaż wiele książek leżało niekniętych. Pytałem dlaczego. 50-letni dwuhektarowy gospodarz, były fernal, Józef Wiśniewski ujawnił to, co czuła ogromna większość wsi: „Po co to? Nudne. Gdyby tak coś o naszym życiu napisali, to by się czytało...”

Nowy, masowy odbiór zaczął stawać pierwsze wymagania. Spelnie było trudno. Przychodziły co prawda nowe książki do biblioteki gminnej. Nie takie. Nie potrzebujemy charakteryzować sytuacji w naszej literaturze i w instytucjach wydawniczych w latach 1948—1949. Jeśli do tego dodamy, że nowe książki przychodziły na zapadłą wieś białostocką ze znacznym opóźnieniem (np. „Popiół i diament” Andrzejewskiego w drugiej połowie 1950 roku) to dzięki energicznemu staraniom bibliotekarki, zrozumiemy, że Józef Wiśniewski długo musiał czekać na częściowe choćby spełnienie swych życzeń.

JAN ŁAZARZ

Zespół ze wsi Rafały

„Tylko na drodze uświat-damania mas chłopskich i wytrwałego przekonywania ich na przykładach o korzyściach gospodarki zespołowej można osiągnąć należyte wyniki”.

Bierut

LEŻA przede mną wypowiedzi chłopów, nadesłane na konkurs czytelnictwa wiejskiego, zorganizowany przez Związek Samopomocy Chłopskiej. Czytelnicy chłopci odpowiadają w ankiecie na pytanie — Jakie spośród doświadczeń omawianych w przeczytanych ostatnio pięciu książkach należałoby zastosować w gromadzie?

Otóż nie ma odpowiedzi, w której by nie mówiło się o podnoszeniu wydajności z hektara, rozwoju hodowli bydła i trzody, elektryfikacji wsi, budowy świetlic itp.

Alle jest rzecz charakterystyczna, że im więcej pracy włożył zespół czytelnictwa w lekturę książek i przygotowanie dyskusji, im wypowiedzi ankietowe są obszerniejsze, im głębszą zawierają analizę przeczytanych książek, tym częściej występuje wówczas w odpowiedziach projekt założenia we wsi spółdzielni produkcyjnej.

Spółdół 200 przejranych przeze mnie odpowiedzi 170 pochodziło ze wsi indywidualnie gospodarujących, 30 ze spółdzielni produkcyjnych.

W pierwszej grupie 60 odpowiedzi (od zespołów czytelnictwa) proponuje założenie spółdzielni produkcyjnej. Nawiasem mówiąc na te ankietę kulturalno — czytelnicką zwrócić winni uwagę działacze. Cóż bowiem oznacza odpowiedź zespołu czytelnictwa? Deklarację, wyrażającą gotowość zrealizowania projektu w praktyce. Projekty są różnego stopnia i dotyczą różnych zakresów. Ale tak za tymi większymi, jak za tymi najpełniejszymi stoją ludzie, zespół, ich przemyslenia i zapal. Tej inicjatywie należy wyjść naprzeciw, pomóc pogłębić i upraktynić marzenia, których nie zrodziła książka, ale których lektura nadała wyraźne kontury i pobudziła do publicznego ich wypowiedzenia.

*

Za przykład do dalszych uwag niech nam posłuży odpowiedź zespołu czytelnictwa ze wsi Rafały, pow. Sokółki Podlaski. Nie jest to zespół czołowy w klasyfikacji jury konkursu, nawet mniej niż przeciętny w tej grupie. Chciałbym szczegółowiej ukazać, co kryje się pod zwrotem „mniej niż przeciętny”. Na jakiego rodzaju słość tutaj trafiamy.

Zespół nadesłał 15 odpowiedzi swych członków. W tym 14 wyraźnie mówi o spółdzielni produkcyjnej. Oto typowy list.

„Wioska moja jest biedna, może trochę zacofana w rozwoju, więc chciałabym ją podnieść kulturalnie i gospodarczo. Powinnyśmy zastosować spółdzielnię produkcyjną, skasować miedze. Ziemia dawałaby większy plon. Maszyny będą robiły za człowieka, człowiek po 8-miu godzinach pracy będzie miał odpoczynek i większą chęć do pracy na drugi dzień. Może iść do czytelnicy czy świetlicy lub kina, słuchać radia. Należy zelektryfikować wieś, pobiudować wspólny magiel, pralnie, piekarnię. Trzeba prenumerować więcej gazet, czytać książki, zakładać kursy dla podnoszenia wiedzy całej gromady. Trzeba pobudować Dom Ludowy, drogi po-

obsadzać drzewkami owocowymi, postawić latarnie. Dla podniesienia higieny należy zbudować w naszej wsi łaźnię”.

W tym projekcie założenie spółdzielni produkcyjnej ma znaczenie przełomowe, z czego autorzy odpowiedzi zdają sobie sprawę. Wydajność pracy, prawo do odpoczynku, wiedzy i kultury, możliwość rozbudowy urządzeń socjalnych, przemienienie wsi nieomal w miasteczko — wszystko to jest do osiągnięcia po pierwszym, decydującym kroku oparcia pracy i życia wsi na nowych podstawach ustrojowych.

Alle uwidoczniła się równocześnie w projekcie poważna skaza. Wyliczone zostały potrzeby, ambitne ludzkie potrzeby gromady Rafały, nie wskazano jednak warunków, w jakich one są rejestrowane. Nie wskazano etapów drogi i sposobów do zrealizowania tych projektów szczegółowych z fundamentalnym pierwszym krokiem. Od czego i z kim zaczynać? Jak rysuje się zwoleńnikom spółdzielni produkcyjnej plan i taktyka dalszych działań? W książkach, jakie czytali: „Lecim i Stalin o spółdzielczości produkcyjnej”, „Zaorany ugor”, „Traktory zdobędą wiosnę” widać ich marzenie w procesie urzeczywistnienia się, w obliczu wielu trudności, w toku walki. Zespół ze wsi Rafały nie przyniósł tych doświadczeń z przeczytanych książek do warunków i sytuacji swojej gromady. Nie wybiegł myślą na miesiąc, na rok i dwa w przód, aby wypełnić ten okres prawdopodobnym rachunkiem kolejnych zadań, trudności, zagrożeń, walk i zwycięstw.

Paradoksalne, ale ów 15-ty członek zespołu, który choć nie mówi oficjalnie o założeniu spółdzielni produkcyjnej, w gruncie rzeczy nie tylko wyraża te same, co pozostali, pragnienia, on właśnie stosunkowo najbardziej praktycznie je formuluje. Na pierwszym planie stawia elektryfikację, łaźnię i łaźnię. Dobrze wyczuwa, że do tych zadań można zmobilizować gromadę jeszcze indywidualnych gospodarzy. W tych akcjach spodziewa się, że poprowadzi się działalność pomocy sąsiedzkiej. Dalej wysuwa spółdzielnię hodowlę ryb (jest wsi staw). Ta boczna, marginesowa okazja do pracy zespołowej wydaje mu się dobrą szkołą dla przybliżenia gromady do spółdzielni produkcyjnej. Jeszcze buduje wstępne mosty: założenie wysiłkiem gromady raso-wego stada bydła i zmechanizowanie uprawy roli. Jego projekt przygotowuje przełom w całej wsi i do spółdzielni produkcyjnej wprowadza białostocką gromadę z olbrzymim doświadczeniem zespołowym.

Alle wróćmy do zespołu czytelnictwa ze wsi Rafały.

Cóż dowiadujemy się np. o książce „Lenina i Stalina o spółdzielczości produkcyjnej”?

„W książce tej najważniejszym zagadnieniem jest sprawa dobrobytu poszczególnego obywatela. Wszyscy są równi, wspólnie pracują i wspólnie korzystają ze swej pracy i sprawiedliwego podziału zysku. Praca odbywa się szczerze, bardziej sprawnie dzięki użyciu maszyn z mniejszym nakładem rąk ludzkich”.

Czytelnicy dostrzegli socjalistyczny charakter gospodarowania w spółdzielni, jego wyższość nad gospodarką indywidualną — nie tylko z punktu widzenia wydajności, ale i sprawiedliwości społecznej. Niestety, przeszli jakość nad sprawą twardej walki, o której jest tam mowa, walki z kulaktem, ze spekulacją.

Tylko pięciu członków zespołu mówi o walce klasowej w ich gromadzie. Odwołują się do „Zaoranego uguru”. Szolochow pomaga im dojrzeć zamaskowanego wroga.

Raz jeszcze wypada mi tu zwać działacza.

Oto na 170 odpowiedzi (zespołów) 60 wysuwa gorąco potrzebę założenia spółdzielni produkcyjnej. Czyż nie trzeba im pomóc w walce z kulakcją propagandą antyspółdzielczą? Praca nad uświadomieniem czytelników o walce klasowej w zespołach czytelnictwa nie jest, jak się okazuje, prowadzona w dostatecznym stopniu.

A można i trzeba w świetlicach przy pomocy zespołów czytelnictwa a także innymi sposobami prowadzić energiczną walkę z solidaryzmem klasowym, jaki w jeden worek pakuje z kulakiem średniaka i małorolnego, trzeba wykorzystać konkursy czytelnictwa, aby z całą energią przeciwstawić się wszechpanemu od dziesiętków lat przez bogaczy solidaryzmowi.

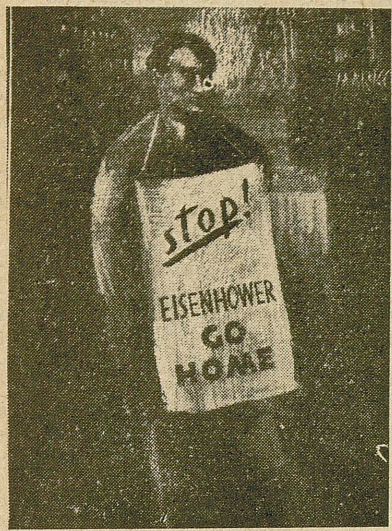
Zadanie to tym bardziej konieczne, że tylko walka z wpływami kulakami na wsi, z wszelkimi jego wpływami, a więc także ideologicznymi, stanowią może trwałą podstawę dla skutecznej propagandy spółdzielczości produkcyjnej.

Pod adresem organizatorów konkursu czytelnictwa (w drugim etapie) należy dlatego wysunąć postulat, aby przeprowadzili z kierownikami zespołów czytelnictwa seminaria, bądź przesyłali im wskazówki metodyczne dla pracy z zespołami. Trzeba wskazywać, na co przede wszystkim w pracy z zespołami należy zwracać uwagę, jak dotąd Samopomoc Chłopska prawie nie w tym kierunku nie uczyniła.

Jan Łazarz

JOANN BERLIOZ

INWAZJA...



Rys. Wojciech Siciński

ZACZELI lądować na wybrzeżu normandzkim w czerwcu 1944 r. Nieco później, zdaniem Francuzów, którzy wyprzedzili ich z niecierpliwością, pokładali w nich bowiem wielkie nadzieje. Czyż nie przybywali jako sarmierze demokracji, aby na powalonym cielsku faszyzmu połączyć się z tymi potężnymi bohaterami wojny o wolność, którzy parli od Wschodu?

Przyjeżdżali z otwartymi ramionami. Ich wyposażenie techniczne robiło wrażenie większe niż ludzkie, którzy nim dysponowali. Nasze powstające siły obojętne pomagały im skutecznie w poszukiwaniu na przód i Eisenhower oddał sprawiedliwość tym zasługom. Armia Radziecka uwalniała także w znacznej mierze pochod dywizji amerykańskich, brzydki skompromitowany zimą w Ardenach, przynaglała je do decydujących posunięć frontowych.

Gdy te zuchy w mundurach koloru khaki wkroczyli do naszych miast, rzucano im kwiaty.

Przysłał ich do nas Roosevelt, który w Teheranie w roku poprzednim oświadczył, że pragnął — wraz ze Stalinem — „usunąć tyranię, ucisk, przesławianie... uwolnić od grozy wojny wiele pokoleń ludzkich”. Nie wiedzieliśmy tu, że Truman, który miał go krótko potem zastąpić, napisał dn. 24 czerwca 1941 r. w „New York Times” okrutne słowa: „Jeśli okaże się, że zwycięży Niemcy, pomożemy Związkowi Radzieckiemu. Jeśli zaś zwyciężą będzie Związek Radziecki, pomożemy Niemcom, byle tylko było jak najwięcej zabitych”.

Mamy koniec 1951 roku. Amerykanie są świetnie zaopatrzeni i bardzo licznie rozbawieni — od Londynu do Orléanu, od Landes przez Chateauroux aż do Mozei. Urządzili się z wszelkimi wygodami na przetrzymaniu od Liverpoolu po Neapol i nie tylko tam. Ale jeśli tylko potrafili odczytać afisze i napisy na murach, spojrzenia przechodniów, przeniknąć wymowę naszego krajoznawcy, wszędzie te same słowa wierzają się w ich zdumione oczy: „U.S. go home! Amerykanie, wróćcie do domu! Via gli Americani!” W miastach i miasteczkach Europy jest przynajmniej tyle samo owych napisów i wrogich spojrzeń, co krwistych reklam Cola-Cola.

Czyż nie są to ci sami ludzie, co przed siedmiu laty?

Otoż nie. Zwyciężył Związek Radziecki, zwyciężyły kraje demokracji ludowej i ogromne Chiny, a jeszcze miliony istnień ludzkich, które nie chcą już dłużej żyć w ucisku „wolnej przedsiębiorczości”, także rzuć się do zwycięstwa. Kapitalizm utracił wiele, a grozi mu, że utraci wszystko.

5 czerwca 1947 r. chyliła się do upadku klasa usłuszka wołanie na trwogę generała Marshalla, podówczas sekretarza Departamentu Stanu. „Ustrój współczesny stoi w obliczu zagłady”. Gdy Wall Street uświadomiła sobie zaostanie się o-gólnego kryzysu kapitalizmu, wczorajsi sprzymierzeńcy, występujący jako oswojone dzikie — przekształciły się w najeźdźców. Przyjaźnielską wymianę czekolady na bukiety zastąpiła plugawa wymiana na nędzę i krew.

Lord Beaverbrook miał słusność, gdy w związku z pożyczką przynęcał Wielkiej Brytanii w 1945 r. powiedział: „Za omylem z jaja w proszku chcą nam zabrać naszą niezależność gospodarczą”.

Rok 1949 — z paktem atlantyckim, Radą Europy i planem Marshalla — to rok przejścia od ujarznienia ekonomicznego do ujarznienia militarnego — Europy Zachodniej. Głęboko jest to rok, w którym mono-

pole amerykańskie wybrały „Rację wojna niż kryzys”. Rok, w którym za oceanem przestają się ludzi, że Związek Radziecki nie zdola podnieść się z ruin, rok, w którym ustrój w krajach demokracji ludowej ostatecznie okrzepł, w którym Mao Tse-tung dokonał wyzwolenia Chin.

Na śmietnik zatem z planem — Moneta: szybko przestawia się na gospodarkę wojenną pod egidą Kruppa i Thyssena, na powrót u-mocnić wysadzonych z siódła! Niech wala się szkoty: aby znowu wprowadzić Bao-Daję na tron, który wznosi dla niego Departament Stanu, potrzebny jest miliard dziennie! Stopa życiowa — bzdura: dziesięć, dwadzieścia dywizji piechoty, Guderiana i Ramcke w Sztapie Generalnym! Europa Zachodnia, poligonem atomowym? Cóż to szkodzi, wykrzykuje teoretyk zbrodni, James Burnham: cel jest jeden — „zniszczenie komunizmu” za wszelką cenę.

Skończyły się złudzenia: „sprawy zaszły za daleko” — wzdycha Le Monde. Równie daleko jak u Orgona, któremu Tartuffe, wprowadzając przezeń jako przyjaciela do domu, oznajmia pewnego dnia: „Ten dom do mnie należy, do ciebie należy — wyjdź z niego”.

Zadomowili się wszędzie. Pokładli nogi na stołach. Weszli do najlepszych naszych mieszkań, do ministerstw, do portów i kiosków gazety, do naszych fabryk i na nasze ekstery. W mundurach lub bez, jak przysłało dla wywiadu. Kontrolują naszą administrację; nasze siły zbrojne podlegają ich uwadze.

Wtrącają się do wszystkich naszych spraw: do składu rządu, budżetu, systemu szkolnictwa, stanu zatrudnienia, do ruchu robotniczego, aby go rozbić, do fabryk, aby je zagarnąć lub aby je zamknąć. Dają rozkaz usunięcia Jolioti-Curie z Komitetu Energii Atomowej i wyrzucenia na bruk działaczy związkowych z S.N.C.A.S.O. Ich lechowiada w proszku niesie zgon naszym winom.

Pozbawiwszy nas niepodległości sądzą, że mogą zabić nasze uczucia narodowe. Porwali się na przedsięwzięcie przetrzymujące ich siły: kazać nam zwątpić o nas samych, odcinając nam nadzieję i wolę ocalenia. Francji w jej wielkości, jak tego chciał program Narodowej Kadry Ruchu Oporu — oporu patriotycznego przeciw innej, obojętnej okupacji, już wtedy ciężkiej i deprawującej, już wtedy stwarzającej niewolników i sprzedawczyków, okupacji, która została wymieniona.

Postępują się często usprawiedliwieniem: „Przecież to wy sami nas uwolniliście”. Kolaboracyjści panowie, to jeszcze nie Francja!

„Jeśli chodzi o zyski klasy — stwierdził Lenin — burżuazja gotowa jest zdradzić ojczyznę i zawrzeć porozumienie przeciw swemu narodowi z każdym obcym państwem”. Zawsze znajdują się przywódcy socjal-demokracji, którzy skwapliwie ochrzczają nazwą „socjalizmu” kosmopolityzm brudnych interesów i wy-naradawiania ziemi, armii, ducha na użytek imperializmu, osłaniającego ich strach, strach płatnych agentów i naganiaczy.

To nie monopolistycznych miliard-derów, Mac Arthurów Europy, nie faszystów z F.B.I. (Amerykańskie Biuro Sledcze — przyp. red.) przy-możali z otwartymi ramionami Francuzi w lecie 1944 r., lecz potom-ków powstańców z roku 1776, uczest-ników wojny przeciw niewolnictwu z 1861 r., męczenników z Chicgo w 1886.

Doznaliśmy rozczarowań chwilowych — tradycje demokratyczne narodu, którego „hasła otworzy Bastyl-je”, myśleliśmy wówczas, odzyska — ale potem przyszedł gniew i wzra-za.

Nasila się on przez porównanie, jakie robią Europejczycy Zachodu między losem swoim a losem Europejczyków Wschodu, którzy w czerwcu 1947 r. odrzucili również i do nich skierowaną propozycję roz-patrzenia „korzyści” planu Mar-shalla i tym samym odmówili wstą-pienia w ponijającą strefę dolara.

Generał Eisenhower nie jest za-dowolony ze swego satelity — Fran-cji. Zyczyłby on sobie, by Francuzi odzyskali ducha spod Valmy. Proszę wybaczyć, panie generale, lecz nie wydaje się, by dobrze znano naszą historię na Uniwersytecie w Kolum-bii. To właśnie armia „oberwalców”, wznoszą okrzyki „Niech żyje na-ród!” — odniosła pod Valmy zwycię-stwo nad europejską armią królów i cesarzy. Niech żyje naród wolny i niepodległy! Już niedługo panie generale, już niedługo...

Joann Berlioz

BILANS PLANU MARSHALLA

	1947	1951
Frank francuski . . .	119 za 1 dolara	440
Złoto w Banku Francji	616 ton	395,3
Obieg pieniężny . . .	775 miliardów (maj)	1.821 (październik)
Wysokość podatków . .	621 miliardów	2.000
Długi zagraniczne . . .	300 miliardów	1.267 (lipiec)
Wskaźnik cen przemys- łowych w hurcie (rok 1938 = 100) . . .	762 (czerwiec)	2.950 (wrzesień)
Wskaźnik cen rolni- czych w hurcie . . .	1.047 (czerwiec)	2.140 (wrzesień)
Bezrobocie zarejestro- wane (na 1 stycznia)	46.424	151.254
Bankructwa i upadło- ści	1.576	7.200

Uzyskano z tytułu planu Mar-shalla w latach 1948—1951: 875 miliardów franków (dolar = 350 franków)
Wydatki wojenne w latach 1948—1951: 1.950 miliardów franków

JULIAN STAWIŃSKI

Rasizm — artykuł eksportowy USA

Filarem dzisiejszego ustroju spo-łecznego USA jest, jak wiemy, ra-sizm, wszechogarniający i konse-kwentny. Rasizm amerykański skierowany jest przeciw wszystkim. I w błędzie byłoby polski hitlerowiec spod znaku Andersa, gdyby udając się z Londynu do New Yorku liczył na to, że zostanie przyjęty, w poczet „nadludzi”. W USA obowiązują prawo „rasy i krwi”, a w długiej tabeli hierarchii rasowej Słowian — w tej liczbie Polacy — znajdują się na jednym z dalekich, niskich szczebli, nieco powyżej Metysów i Filipińczyków. Od tego zera, wokół ziębną Słowianę wraz z Grekami, Żydami i Włochami, wiodą szczeble wzwyż, ku stołcu „szczęśliwości” amery-kańskiej — poprzez Francuzów, Irlandczyków (których grzechem jest ich katolicyzm), Niemców i Skandy-nawów, a wreszcie Sakotów — aż do potomków emigrantów angiel-skich, wśród których z kolei jest również szereg nawarstwień. Poni-żej zera mnożą się Spaniardzi oraz Meksykanie i inni przybyszy z Ame-ryki Łacińskiej, a dalej Filipińczycy, Japończycy, Metysi, Indianie, wresz-cie zaś Okotoni, Kwatironi, Mulaci i Murzyni. Ci wszyscy zaliczani są do „kolorowych” z racji większej lub mniejszej domieszy „nieczystej” krwi. Według orzecznictwa Sądu Naj-wyższego USA wystarczy 1/32 (jed-na trzydziesta druga) takiej do-



mieszki dla przekształcenia rasy szlachetnej w denaturat.

Rasizm amerykański jest konse-kwentny. Ludzie o „krwi nieczystej” po prostu nie są ludźmi, stanowią jakiś podgatunek, zbliżony tylko do człowieka. Biali zaś dzielą się na rasę panującą i szereg grup rzędu niższego, których przeznaczeniem jest czarna robota, jest wykonywanie prac najposłedniejszych. Stąd płyną różnice i gradacje złego trak-towania. Tak więc, obok Murzyn-ów, przedmiotem największych okrucieństw byli i są Indianie.

W początkach XVII wieku obszar dzisiejszych Stanów Zjednoczo-nych zamieszkiwało dosłownie kil-kuśet białych przybyszów z Euro-py i blisko milion Indian. Dziś licz-ba białych wynosi ponad 130 milio-nów, liczba zaś Indian spadła w cią-gu trzech stuleci o 2/3. Spadła wła-sciwie na przestrzeni XIX w., odkąd rząd USA przystąpił do systema-tycznego, metodycznego wypłania-pierwotnej ludności „ziemi wol-nych”. Wycinano w pień całe osie-dla, mordowano Indian w otwartej walce, choć częściej przy zastosowa-niu wszelkich podstępów. Przede wszystkim jednak dążono nader skutecznie do stworzenia warunków, w jakich każda społeczność, a więc i indyjska, musiałaby wyginąć — wymrzeć z chorób i nędzy.

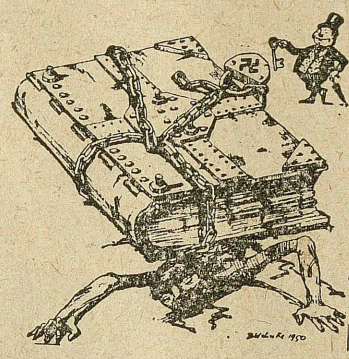
Zdrowia moralnego Indian rząd USA złamać nie zdołał. Znany ba-dacz zagadnienia, A. H. Verrill, pisał w r. 1943: „Nigdy nie spotkałem Indianina typu pierwotnego, który byłby złodziejem. Tygodniami i mie-siącami mieszkałem w wioskach in-dyjskich, gdzie domostwem były otwarte wigwamy, gdzie wszystkie moje rzeczy — dla Indian bezcenne i stanowiące przedmiot najwyższego pożądanego — dostępne były dla każ-dego. Nigdy jednak nie zginął mi najbliższy drobiazg”.

Natomiast zdrowie fizyczne In-dian doprowadzono do stanu opła-kania. Polowa dzieci jest stale nie-dożywiona, trzy czwarte nie ma możności nauki. Według szacunku towarzystw ubezpieczeniowych prze-ciętny Amerykanin ma szansę doży-cia do 63 lat, przeciętny Indianin — do 17. Dochód rodzinny indyjskiej nie przekracza zazwyczaj 10 proc. minimum kosztów utrzymania, w nierazkich zaś wypadkach spada do 1 proc. Indianie są niemal za-piętnie pozbawieni pomocy lekar-skiej; na roległy rezerwat szcze-pu Navajów w stanach Arizona i Nowy Meksyk, szczerpu liczącego ok. 55.000 głów, przypada jeden denty-sta. Pod względem dyskryminacji rasowej Indianie traktowani są tak samo jak Murzyni. I tak samo pod względem wymiaru sprawiedliwości: kiedy notoryczny złodziej groza publicznego, osławiony przewodni-czy kongresowej komisji „dla ba-dania działalności anty-amerykań-skiej”, J. Parnell Thomas za kra-dzież setek tysięcy dolarów został skazany na 9 miesięcy aresztu, w sta-cie Idaho, prawie równocześnie skazano czterech chłopców indiań-skich za kradzież kozy na 14 lat ciężkich robót.

Tak w miejsce trybunału norym-berskiego sądzącego rasistów po-wracają wspierając ich norymber-skie prawa. Nie dziwmy się. Na dłu-go przed Hitlerem generał Sheridan wypowiedział pamiętne słowa: „Je-

dyny dobry Indianin, jakiego znam, to Indianin zabity!”

Rasizm USA jest przedmiotem forsownego i forsowanego eksportu. Amerykanie uprawiają rasizm



Nawet reakcyjny rząd carski, od-stępując Stanom Zjednoczonym Alaskę, zawarował mieszkającym tam Indianom nadanie wszystkich praw i przywilejów obywateli ame-rykańskich. Rząd USA, który jako zasądę przyjmuje, że umowy mię-dzynarodowe wiążą go tylko o tyle, o ile są dlań wygodne, zignorował całkowicie swe zobowiązania odbie-rając Indianom większość ich ziem. Jaskrawą kropką nad „i” postawił Truman w sierpniu 1947 podpisując ustawę, która oficjalnie wyzula z własności wszelkich ziem i lasów na Alasce każdego, kto ma choćby jed-ną babkę, czy dziadka — Indianina. gdziekolwiek się zjawia, choćby byli gośćmi. Cóż dopiero, gdy zjawia się gdzieś w charakterze gospodarzy! Po wojnie z Meksykiem Ameryka-nie zagarnęli wielkie obszary za-mieszkałe przez około 3 miliony Meksykanów i Spaniardów (potom-ków emigrantów z Hiszpanii). Trak-towanie tej grupy ludności, o trady-cjach cywilizacyjnych znacznie starszych od tych, jakimi mogą się wykazać Jankesi, wzorowane jest dokładnie na losie Murzynów i In-dian.

Narody Zjednoczone, zgodnie z art. 76 Karty, sprawują powiernic-two nad pewnymi obszarami, a to „dla popierania rozwoju politycz-ne-go, gospodarczego, socjalnego i oświatowego mieszkańców teryto-riów powierniczych oraz ich stop-niowego rozwoju w kierunku samo-rządu lub niepodległości”. Z ramie-nia ONZ Stany Zjednoczone pełnią mandat powierniczy nad wyspami Marszałkowiskimi, Marianskimi i Karolińskimi na Oceanie Spokoj-nym. Jak wygląda troska o rozwój poziomu życia mieszkańców tych wysp i przygotowywanie ich do sa-modzielnictwa, wnosić można z cyto-wanych przez znanego historyka lu-dów kolorowych, H. Aphepera, dwóch obwieszczeń Wysokiego Ko-misarza amerykańskiego. Pierwsze, z 3.IV.47, ustala maksimum płac: dla czeladników — 32 centy dzien-nie, dla służby domowej — 40 cen-tów, dla robotników zwykłych — 50 centów, dla robotników kwalifiko-wanych — 65 centów, dla pracowni-ków umysłowych — 15 — 36 dola-rów miesięcznie, dla nauczycieli — 20 — 75 dolarów. Płace te są 10 — 20 krotnie niższe niż w USA, ceny zaś niemal te same. Drugie obwiesz-czenie zapowiada komasację ziem

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

Zagranica i filozof opętania wojennego

Generał „Waffen SS”, Kurt Me-yer, wykazał się w okresie niedo-szłego hitlerowskiego tysiąclecia nie-lada zasługami i umiejętnościami. Na koncie jego nieśmiertelnych zasług znaleźć można bez trudu sprawę wymordowania wielu tysię-cy kanadyjskich jeńców w hitlero-wskich wojennych obozach jenieckich. Za ten właśnie niezbitnie udo-wodniony zbrodnicy czyn skazany został Kurt Meyer po wojnie przez sąd kanadyjski na karę dożywot-niego więzienia. Z ramienia pań-stwa oskarżał Meyera prokurator mr. Bruce Mac Donald.

Bruce Mac Donald był ponoć „porównywalny w swym usprawiedli-wionym kalkulem patosie, gdy grzmiał na sali sądowej roztaczając przed trybunałem obraz przestęp-czej działalności zbrodniarza, dla którego jeden tylko może być wy-rok”... Aż ustraszony się ottawski sędziowie, aż rozpiętkali się kana-dyjska Temida. Wszystko to było zrozumiałe, słuszne, celowe i ko-nieczne dla ochrony całej ludzko-sci przed powtórzeniem się podob-nych zbrodni w przyszłości...

W grudniu 1951 r. Kurt Meyer został zwolniony. Bez amnestii. Bez rewizji procesu, która by ujawniła zaistnienie jakiegokolwiek okolicz-ności łagodzących. Jedynie na po-lecenie... prokuratora, mr. Bruce Mac Donald. Tak jest. Mr. Bruce Mac Donald zwolnił zbrodniarza ce-lem... umożliwienia mu „rehabilita-cji i wykazania się w szeregach „jednej z armii zachodnio - euro-pejskich”...

Pan senator Milton R. Young był w Europie. Zwiedził Anglię, Fran-cję, Włochy, Jugosławie, Zachodnie Niemcy. A kiedy wrócił do mace-ryzujących Stanów — podzielił się wrażeniami:

„Francja nas dosłownie oszuka-ła. Francuzi najwyraźniej nie mają zamiaru dotrzymać militarnych zo-bowiązań. Italia straciła całkowicie ducha walki, a Wielka Brytania

niezależnych do tubylców wyspiar-skich i wydzierżawienie ich przez administrację powierniczą wielkim amerykańskim koncernom agrar-nym. Nie trzeba dodawać, że czyn-sze pobierać będzie administracja nie oglądając się na prawowitych właścicieli.

Jest to zresztą tylko dochowywa-nie wierności tradycji. Po zdobyciu na Hiszpanii wyspy Guam w r. 1898, mieszkańców pozbawiono nielicz-nych nadanych im przez Hiszpanów praw, wygnano wszystkich księży nie wpuszczając nawet delegata apo-stolskiego, zniesiono miejscową po-licję zastępując ją przez piechotę marynarki USA, wprowadzono peł-ną segregację rasową, wprowadzo-no język angielski jako jedyny język wykładowy w szkołach i skrupulat-nie spalono wszystkie słowniki je-zyka miejscowego — chamorro. En-cyklopedia Brytyjska określa mieszk-kańców jako „łagodnych, przyjaściel-skich i inteligentnych, zręcznych rzemieślników, których jednak we-sołość i zaradność pod rządami Hisz-panii przeszła w ponurą apatię i gnuśność”. Encyklopedia dyskretnie przemilcza skutki przejęcia władzy przez Amerykę.

Równie tragiczne stosunki panują na Hawajach, w strefie Kanatu Pa-namskiego zarządzanej przez USA, na wyspach Dziewiczych, wyspach Admiralskich, wyspach Wake, Sa-moa i Puerto Rico, wszędzie, gdzie-kolwiek rządzą Amerykanie. Nędza i wyzysk mieszkańców obfitującej w bajeckie bogactwa wyspy Puerto Rico nie mają sobie równych na ca-łej Półkuli Zachodniej.



rys. B. Jefimow

Ameryka Łacińska do niedawna nie znała rasizmu. Murzyni, India-nie i mieszańcy stanowili obywateli większość ludności, różnice barw skóry zatarły się, małżeństwa mie-szane są zjawiskiem codziennym, istniejący podział klasowy nie zaś ra-sowy. Ale w ramach trumanowskie-go „Punktu 4” — wspierania rozwo-ju krajów zacofanych — Jankesi eksportują tam gwałtownie segrega-cję i inne zasady rasistowskie, wy-zysk i ucisk ras „niższych”. Wziamian otrzymują cyne, kaucuk, kawę, miedź i inne surowce. Niewątpliwie korzystna wymiana dóbr. Może co-kolwiek jednostronna...

Julian Stawiński

S A D

(Dokończenie ze str. 2)

Istotnie, czterech powstańców prowadziło, jak gdyby pod strażą, gromadę chłopów. Gdy podeszli pod ganek, Oksiński zszedł ze schodków i spytał ostro:

— Co to ma znaczyć?

Nie chcieli przyjąć po dobrowoli, obywatelu naczelniku — wyjaśnia-li z zakłopotaniem powstańcy.

— Mówiliście im, że mają być świadkami sądu nad dziedzicem?

— Mówiliśmy, a oni na to, że ni-jakimi świadkami być nie chcą.

— No, dobrze — przerwał Oksiń-ski — odpastcie ich teraz. Sam bę-dę z nimi gadał.

To mówiąc, zwrócił się wprost do przybyłych:

— No, gospodarze, przywołalem tu was na sąd.

Ale żaden z nich nie odpowiedział, patrzyli wszyscy jak urzeczeni na Lemańskiego, który stał wciąż nie-ruchomo, w niedbalej pozie. A ści-słej mówiąc patrzyli ze zdumieniem i przerażeniem na jego związane rę-ce. Widok ten wywołał na usta Oksińskiego lekki uśmiech zadowo-lenia.

— No, cóż to, gospodarze — rzekł swobodnie — nie poznajecie swojego dziedzica?

Ale chłop i teraz nie nie odпові-dzieli. Wtedy Oksiński zwrócił się wprost do sołtysa:

— Ej, sołtysie, nie chcieliście ze mną wczoraj u siebie na wsi wiele mówić, to może teraz język wam się rozwiąże, co?

Sołtys Gromadzicki oderwał wreszcie wzrok od dziedzica i spojrział niechętnie na Oksińskiego.

— Czego wam jeszcze potrzeba? — spytał z wolna.

— Pańszczyzniani jesteście?

— Ano... nie inaksi — odparł sołtys.

— A ten, com go wam odesłał... ten, kto jest?

— Mój to był parobek. Odrabiał za mnie na foliarku.

— I za cóż go to dziedzic tak okrutnie pokarał?

Chłop spojrział na Lemańskiego i długą chwilę obydwa ze szlachci-cem mierzyli się wzrokiem, potem obejrzał się jeszcze na swoją groma-dę, zanim wreszcie wrócił spojrze-niem do Oksińskiego i odrzekł z pewnym wahaniem:

— Un ta nie chciał wychodzić na pańskie... i drugich namawiał, żeby nie śli. Rozpowiadał, że kiej roz był w Pietrkowie, to mu tam mieskie ludzie mówili, że niedługo polski za darmo zmieni parobkom bedom da-wać. Po trzy morgi każdemu.

— No, i to się panu dziedzicowi nie podobało?

— Ano, pon dziedzic je za pań-szczynom.

— A oyczynować was nie chciał?

— Kocz, asan, te „polityczne” rozmówki — przerwał nagle Lemań-ski.

Oksiński odwrócił się ku niemu i chwilę obydwa patrzyli sobie w oczy, po czym rzekł krótko:

— Dobrze — i wszedł na ganek. — Skończyliście? — zapytał Maźniew-skiego.

— Tak jest, obywatelu Naczelniku — odparł porucznik.

— Jak wyrok?

— Maźniewski nabrał tchu, za-nim powiedział głośno i dobitnie:

— Sąd polowy uznał obywatela Lemańskiego winnym wystąpienia zbrojnego przeciw wojskom narodo-wym, śmierci żołnierza polskiego i zbrodni znęcania się nad podwład-nym właścicielom... tu urwał.

Co dalej?

Sąd polowy w imię Rządu Na-rodowego skazuje podsądnego na śmierć. Nie uważa go jednak god-nym honorowej śmierci, toteż pole-ca wykonać wyrok przez... powie-szenie.

Lemański uważał widocznie wszy-szko za komedię tylko, słuchał bo-wiem przemówienia Maźniewskiego z drwianym uśmiechem, na słowo „powieszenie” zaś, parsknął śmie-chem.

A jak wyrok wykonacie, kiedy wokoło domu nie ma ani jednego drzewa? Spytał kpiąco.

Po słowach Lemańskiego zapadła chwila ciszy. Istotnie, dzwienie po-mysłany był pałac w Zagorzu: stał w pustce, nagi, niczym nie osłonię-ty...

W miarę przedłużającej się ciszy pewność siebie Lemańskiego — ro-sła. Toczył bułnie oczyma to po chłopcach, to po powstańcach, gdy nagle zabrział spokojny głos Oksiń-skiego:

— Powieście go na rogach jele-nich, ot tych, nad ganek...

Wszyscy podnieśli głowy we wska-zanym kierunku i rozważali widocz-ne zeczenie, gdyż ten i ów spogla-dał kolejno to na piękne rogi jelenie nad ganek, to na Lemańskiego.

Ten zaś zblił teraz śmiertelnie, jego wyniosłość zgasała tak replot-nie, jak gąsienica pochodnia od gwał-townego podmuchu wichru. Na czo-ło wystąpiły mu kropie potu, a cia-ło dziwnie się skurczyło. Jakiż w tym momencie dopiero zrozu-miał, że tarcza, która się dotychczas osłaniała — szlachectwem, wśród tych ludzi — nie nie znaczy i, że wobec tego istotnie stoi oko w oko ze śmiercią.

Tymczasem Oksiński nie zwracał więcej na niego uwagi, lecz zanim wszedł w głąb domu — rzucił o-kiem w stronę chłopiekiej groma-dy; chłop i stał nieruchomo, ści-słe skupi, jakby jeden o drugiego wsparci. Wyraz ich twarzy zdradzał najwyższą ciekawość, ale jed-nocześnie i niedowierzanie...

Sergiusz Jaśkiewicz

Zofia Lorentz

WOJCIECH SCIBOR

Dalszy krok na drodze do socjalizmu

GDY czytamy komunikat PKPG o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego na rok 1951 ogarnia nas słuszną dumą i radość, że mimo obiektywnych, nie zawinionych przez nas trudności (długotrwała posucha), mimo wzmożonych prób podważenia naszej planowej gospodarki przez elementy kapitalistyczne i spekulacyjne, mimo spogowowanego nacisku i przeznaczenia 100 milionów dolarów na szpiegowstwo i dywersję w naszym kraju przez kapitalizm międzynarodowy, mimo, uderzenia się w pierś, wielu błędów w naszej pracy terenowej wynikających z niezrozumienia przez nas często wskazań partii i rządu — GŁÓWNE I PODSTAWOWE, decydujące o lepszej przyszłości naszego kraju, ZADANIA PLANU NA R. 1951 WYKONANE ZOSTAŁY NIE TYLKO ZGODNIE Z PLANEM, ALE NAWET Z NADWYŻKĄ. I tego faktu nie mogą nam zastąpić niewątpliwie braki naszej rocznej pracy, zwłaszcza na odcinku rolnictwa, zaprzeczanie ludności, dyscypliny wzrostu zatrudnienia itp.

Przecież plan na r. 1951 żądał podniesienia produkcji przemysłowej (przeograniczenia Francji!) — o 23,4%, podnieśliśmy ją o 24,4%; wybudowaliśmy nowych zakładów przemysłowych nie o 32%, więcej, jak przewidywał plan, a 40% więcej; nasze inwestycje w dziedzinie komunikacji wzrosły nie o 20%, a o 36%; wartość produkcji państwowej przedsiębiorstw budowlano-montażowych — nie o 52%, a o 57%; przesunęliśmy ze wsi i z małych miasteczek do zakładów pozarolniczych nie o 8,9% więcej, jak przewidywał plan, a o 12% więcej ludności.

W ten sposób proces przemysłowania naszego kraju, decydujący o szybkim wzroście poziomu sił wytwórczych rozwijał się w r. 1951 bardziej nawet pomyślnie, niż to przewidywały wytyczne drugiego roku Planu 6-letniego.

Nie uległo również większemu zahamowaniu tempo przebudowy ustroju rolnego w kierunku spółdzielczości produkcyjnej, liczba bowiem spółdzielni produkcyjnych wzrosła

w ciągu roku zeszłego o 855, liczba ich członków (gospodarsko) zwiększyła się o 22.300, a odsetek użytków rolnych objętych specjalistyczną gospodarką wyniósł zgodnie z planem już ok. 15% powierzchni użytków rolnych naszego kraju.

Te zwycięskie osiągnięcia zawdzięczamy przede wszystkim ogromnemu wysiłkowi i ofiarnej pracy produkującej w narodzie klasy robotniczej, a zwłaszcza jej awangardzie — proletariatu wielkoprzemysłowego, który pod kierownictwem swej partii zwiększył nie o 12,2% (jak tego żądał plan), lecz o 14% swą wydajność pracy i oddał do produkcji, skracając okres ich budowy, znacznie więcej, niż przewidywał plan, bo aż 135 wielkich i średnich obiektów przemysłowych.

Głównie też dzięki temu wysiłkowi i patriotyzmowi klasy robotniczej i współdziałającej z nią inteligencji technicznej dochód narodowy wzrósł w Polsce w r. 1951 o 12% w por. z r. 1950.

Jeśli nie wzrósł jednak ten dochód narodowy w tym stosunku, jak to przewidywał plan na r. 1951 (a więc o 18,9%) to wynikało to głównie z nienadania naszego rolnictwa za rozwojem naszego socjalistycznego przemysłu.

Plan przewidywał bowiem wzrost produkcji rolniej ok. 10%, a mimo ogromnego wysiłku spółdzielni produkcyjnych i PGR (te ostatnie zwiększyły swą produkcję z roku na rok o 26%, co jest wynikiem niespotykanym w dziejach naszego rolnictwa) i jakże wymownym argumentem za wyższością socjalistycznej gospodarki — zadania planu w rolnictwie (głównie z powodu posuchy, wobec której bezradnie stanęli drobni i średnie gospodarstwa chłopskie) nie zostały w całości wykonane.

Wprawdzie nie cofnęliśmy się znacznie w tył, bo przecież produkcja zbóż chlebnych i pogotwie była rogatko utrzymać się na poziomie roku zeszłego, a pogłowia owiec, drobiu, itp. nawet wzrosło, lecz pogotwie trzody chlewnej, zbioru psaz, niektórych roślin przemysłowych (zwłaszcza buraków cukrowych) nie osiągnęły poziomu roku zeszłego.

Nie zapominajmy jednak o tym, jak ciemny przełom dokonał się już u końca jesiennej akcji kontraktacji skupu wśród mas pracujących chłopstwa, ile wysiłku włożyli chłopcy mało i średniorolni (siedząc nawet do połowy listopada, orząc do końca grudnia ub. roku) w wyrównanie strat zadanych naszemu rolnictwu przez posuchę.

I dlatego z ufnością oczekujemy zbiorów w r. 1952 a przysługując się jeszcze staranniejszym niż w r. zeszłym do wiosennej akcji siewnej rozbijmy to z myślą wyrównania naszych niedociągnięć zeszłorocznych.

Wykonanie tak trudnego, jak zeszłorocznego, planu świadczy wymownie o ogromnych przemianach w naszym narodzie.

Gruntowną analizę tej postawy narodu polskiego dał w swym przemówieniu na VI Plenum, w toku wykonywania Planu 1951 roku, Prezydent Bolesław Bierut mówiąc m.in.:

„Ktoś śmie zaprzeczyć — prócz spędzających do dnia wyrzutek emigracyjnych — że masy pracujące Polski z ogromnym zapalem uprzedmiotawiają swój kraj, budując nowe fabryki, traktory, maszyny rolnicze, naważowóz, samochodów dla rolnictwa, że wkracza w Polskę z roku na rok wydobywcę węgla, budując się nowe kopalnie i huty, budując się nowe fabryki i nowe osiedla wokół nich, że wzrasta z roku na rok produkcja przemysłu w takim tempie, jakiego nie znają kraje kapitalistyczne, że Plan 6-letni — plan wyrwania Polski z zacofania okresu kapitalistycznego, plan przekształcenia Polski z ubogiego kraju w kraj silny i bogaty, polski lud pracujący wykonuje i będzie wykonywał z nadwyżką. Ktoś może zaprzeczyć że ta wielka pokojowa praca stanowi główny wysiłek i główną troskę narodu polskiego, iż ta naród polski ma świadomość, iż ta swoją pożytną, ofiarną i szlachetną pracą umacnia niepodległość Polski i umacnia pokój na świecie”.

Wojciech Scibor

WŁADYSŁAW BŁACHUT

KALWARIA NOWA i STARA

(Notatki z terenu)

MÓWIĄC czy pisać o Kalwarii Zebrzydowskiej wypada zacząć od klasztoru, jako że przez całe stulecie przesłaniał on swoją wielkością malowniczo rozrzucone na wzgórzach przyklasztornych miasteczko i jego sprawy.

W roku 1669 pierwszy dziejopis Kalwarii Zebrzydowskiej ks. Franciszek Dziełowski w nowelkach książkowych pt. „Kalwaria albo nowe Jeruzalem na polach Zebrzydowskich zasadzone” zaznacza opinię publiczną w Polsce z nadprzyrodzoną rzekomo jasnością, jakie towarzyszyły małym powstaniom Kalwarii. Opowiada m.in. o tym, jak to w roku 1595 znany w Polsce opół i warchol Mikolaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, bawiąc na zamku lanckorońskim pewnej nocy śpiwoczek zobaczył na tle pobliskiej góry zawieszony w powietrzu trybun z jasniejącymi krzyżami. Przywrócić to magnat uznał za cud i wyraz szczególnej łaski niebios. Toteż postanowił na sklonie góry Zar, wybudować wspaniałą kościół i otoczyć go wieńcem kilkunastu kaplic, na wzór Kalwarii jerozolimskiej. Na życzenie wojewody dworzanie Hieronim Strzałka rusza bez zwłoki do dalekiej Jerozolimy i ryćto przywozi stamtąd potrzebne plany.

W roku 1601 legat papieski Rangoń wśród niezwykłej pompy i rozgłosu dokonuje poświęcenia pierwszego kościoła. Wtedy rozpoczyna się walka między najpotężniejszymi zgromadzeniami zakonnymi w Polsce o opiekę nad „świętym” miejscem. Wychodzą z niej zwycięsko Ojcowie Bernardyni i w roku 1602 otrzymują od papieża Klemensa VIII zezwolenie na założenie w Kalwarii nowego konwentu i klasztoru. Będzie to ich 55 fundacja w Polsce, wyposażona w nadzwyczajne odpusty i przywileje. Potem już wszystko idzie zwykłą koleją. W niedalekiej wiosce Kopytówce niedługo się „cudowny” obraz płaczącej Matki Boskiej, którą w gminie i odszedł w stronę ledu rysujących się za drzewami chat. Niezły typ — mruknięt wyższy z naszych bohaterów.

— Sprytny. Ho, ho! Chciałbym zobaczyć ten jego „podział” — zauważył drugi.

Zrywiał się wiatr, znad lasu napływały chmury. Na ziemię padły pojedyncze płatki śniegu i natychmiast topniały. Nasz bohaterowie podnieśli kornierze, poculi zimno. Stanieli chwile przed spóźnioną, krowy już nie było. Stał za to wóz wypełniony workami. Gromada dzieci przebiegła z hucaniem. Nasi bohaterowie spojrzeli bezradnie na chmury, młyn, budynek spółdzielczy, pokryty już z lekka delikatnymi koczami śniegu. Była godzina 12.30. Pociąg odchodził o 13 i drugi o 18. Zastanawiali się przez chwilę.

— Pojedziemy o 13. Jeszcze się coś zrobi w domu...

Pobiegli truchtem w stronę stacji. W zagajniku zatrzymali się chwile. — Popatrzymy na panoramę wsi... Od strony lasu widać rysowała się malowniczo. Na pierwszym planie biały od śniegu młyn, dalej w obramowaniach drzew pojedyncze domy...

— Tylko, gdzie te przysiółki? Nigdzie ich nie widać! Po chwili pociąg unosił ich z powrotem do miasta, do ciepłych mieszkań, rodzin. W tezkach widać zebrany „materiał”, w myśli budowali plany przyszłych opowiadań. Jedno mieli prawie gotowe „o porzeczności rozkładającym się Mielićkim”, inne da się ulepić z danych o pozytywnych bohaterach. Za oknami pociągu wirowały płatki śniegu, opadały coraz gęstsza chmura na ziemię, drzewa, domy...

Przynas, czytelniku, że wolatbyś, aby nasz badacz terenu został jeszcze z chłopem Mielićkim na kilka choćby godzin, odwiedził go w domu, porozmawiał, może porządził, zażyczył do innych chat... Cóż, tak się nie stało. Ale jeśli kiedykolwiek przeczytacie w którymś z pism opowiadanie, które ocaliło, jako powierzone, schematyczne, fałszywe, poznacie zaraz na jakim doświadczeniu oparte jest owo dzieło. Spotkanie się może kiedyś i z jego autorem. Takiego badacza poznać na miarę! Na szczęście są to już coraz rzadsze okazy. Pociąg się wtem, jak się ma zachowywać w tak zwanym terenie, wciągając go w sam środek walki, obarczając zadaniami bojowymi, niech się rozciągnie, niech pomaga, niech walczy. Kto wie, czy nasi badacze nie wyrażali krzywdy chłopu Mielićkiemu. Nie dopuszczajmy do tego.

Tadeusz Papier
Rys. St. Gierowski

ry okólnymi drogami prowadzi swojego właściciela na Kalwarię, okoliczna szlachta czyni coraz liczniejsze zapytania na rzecz nowego klasztoru, a pobożne tłumy pielgrzymów zapelniają zespół kalwaryjskich kościołów i kaplic. Ręcną majątek, sława i znaczenie klasztoru, który z czasem usuwa w cień swych fundatorów Zebrzydowskich oraz ich następców Czartoryskich.

Na próżno w okresie rozburów wielki patriarcha i uczone ks. Stanisław Staszic w swoich „Przestrobach dla Polski” napisał: „Prócz plebana i biskupa każdy inny duchowny jest niepotrzebny, a tym samym szkodliwy... Niechaj rząd nieużyteczne klasztory pozostawi z pewnością posesji tym wszystkim, których prawo zastanie...”

Jeszcze przez długie dziesięciolecia dobra martwej ręki cieszyły się miłą szczególnymi przywilejami, a klasztor kalwaryjski bez przeszkód powiększał swoje dochody, zapisy i majątkość...

Z tych czasów pochodzi szeroko znany na Podhalu przewlekły zapis ludowy:

„Gdybyś ty dziewczyno
Kalwarię miała,
Tobys ją przepłaja i
przełanowała,
Ale ty dziewczyno Kalwarię
nie masz,
To jej nie przepjesz, ani nie
przełulasz...”

Nie powstał on bez przyczyny. U jego kolebki stało powszechne w tych stronach przekonanie o wielkich bogactwach złożonych w klasztorze kalwaryjskim przez pobożnych pańników i możnych opiekunów klasztoru na przestrzeni długich lat i stuleci.

Pozostawiając na bieżących trydniach opustowych często ostatni swój grosz, biedak wiejski bogacił równocześnie cały legon pokątnych handlarzy dewocjonalistów, wytwórców farbowanej wody sodowej, różnych przekupniów, kramarzy i sprzedawców bezwartościowych oledruków oraz działo kalwaryjskich, którzy w cieniu klasztoru uchwili sobie wygodne gniazdko...

Osiedlając się w Kalwarii i rozkładając w czasie opustów w stóp klasztoru swoje stajski i kramy spekulanci ci dali początek pobożnej niż klasztoru osadzie, która z czasem urosła do rozmiarów miasteczka i przez rząd austriacki wyposażona została w przywilej odbywania stałych targów i jarmarków. Do tego przybyły jeszcze sąd. Odtąd życie miasteczka płynęło potrojnym torem.

W czasie opustów dziesiątki tysięcy pańników, rekrutujących się przeważnie spośród biedoty wiejskiej, zachęcani do pielgrzymowania przez kulaków i księży proboszczów, w gorączkowym pośpiechu deptało ścieżki między klasztorami a kilkunastuściami małych wiejskich daleko na pola Bugaja i Zebrzydowice „stajkami”, wysłuchując odpowiedzi nauk moralnych i napychając kieszonki żerującą na tej manifestacyjnej pobożności elementu spekulackiego.

W cotygodniowe targi i jarmarki (raz na miesiąc) na obszernej rynku kalwaryjskiej odbywał się przegląd gospodarskich zaprzęgów z okolic, następowały kontrakty i transakcje, zacięwał się sojusz bogatego chłopstwa ze spekulantami kalwaryjskimi, skierowany przede wszystkim przeciwko uzależnieniu od nich biedocie wiejskiej.

Budowa przebiegająca przez Kalwarię kolei Kraków — Zakopane stworzyła nowe i lepsze warunki dla rozwoju miasteczka, które jeszcze na przełomie ubiegłego stulecia liczyło niewiele ponad sto domów i niespełna 1000 mieszkańców.

W latach dziewięćdziesiątych powstaje w Kalwarii rzemieślniczy przemysł stolarski. Obok nielicznej grupy miejscowych spekulatorów i elementu drobniomieszczańskiego wyrasta powoli proletariatus miejski, złożony przede wszystkim z najemnych robotników stolarskich i wykonywanych przez swoich nakładców szewców-chłopników.

O trudnym życiu stolarzy kalwaryjskich dużo się mówiło w okresie międzywojennym. Pisała nawet o tym dr. Janina Smreczyńska w pracy pt. „Przemysł stolarski w Kalwarii Zebrzydowskiej”. Pracowali oni u kilkunastu majstrów w warunkach urągających higienie, odbywali sę licho, podlegali liczny chorobom zawodowym. Narastający kryzys wywołał wśród nich wzrost nędzy i bezrobocia. Równocześnie jednak stworzył dobrą koniunkturę dla grupy bogatych majstrów-przedsiębiorców, którzy najnowali w tym czasie najjaśniejszego robotnika i jego rękami wykonywali najdroższe meble dla kapłanów i bogaczej burżuazji...

W tym samym czasie bezrolne i malorne chłopstwo w okolicach Kalwarii, w Brodach, Zebrzydowicach, Barwałdzie, Stanisławowie czy Kleczynie zaczyna uprawiać przemysł chatupniczy, stolarski i szewski, stając się nowym obiektem wyzysku ze strony spekulantów kalwaryjskich.

Przełom w życiu stolarzy kalwaryjskich nastąpił dopiero po wojnie. Charakteryzuje się on stałym rozwojem rzemieślniczych spółdzielni pracy, skoncentrowanych w dniu 1 maja 1950 roku w jedną wielką spółdzielnię Meblowo-Budowlaną. Ludwika Waryńskiego. Zreszta na tej chwili 750 stolarzy, przeważnie dawnych uczniów, pomocników i czeladników z Kalwarii i najbliższej okolicy. Cały zespół nieznanych przed wojną w Kalwarii maszyn stolarskich redukuje trudności, a do minimum, umowa zbiorowa określa szeregowe jego prawa i obowiązki. Nie też dziwnego, że robotnicy stolarzy bez namysłu popuszczają prywatnych majstrów i garną się do spółdzielni. Ale prywatna inicjatywa nie kapituluje bez walki. Różnymi sztuczkami pragnie zatrzymać przy sobie najmniej uświadomionych robotników... Daje urlopy, podwyższa z konieczności płace.

Spółdzielni Meblowo-Budowlana w Kalwarii — to jedna z największych fabryk przemysłu drzewnego w Polsce. Tu wytwarza się masowo tanie meble dla świata pracy, urządzenia biurowe, sprzęt dla szkół i przedszkoli, umebliowanie dla hoteli pracowników, m. i. w Nowej Hucie. Wśród załogi rozwija się odpowiedzialność i ruch racjonalizatorski, a także ambicje aby stać się artystą w swoim zawodzie.

Aktywność robotniczą pod kierownictwem mocnej organizacji partyjnej (podst. org. liczy 60 członków) nie bez widocznego rezultatu pokonywa wpływy klerikalne, nawyki drobniomieszczańskie i przyzwyczajenia cechowe wśród zrzeszonych spółdzielców. Kształtuje nową klasę robotniczą, zainteresowaną w rozwoju wspólnego warsztatu pracy i przedtemnowym wykonaniu planu produkcyjnego. Wraz z produkcją rosną ludzie Planu Sześcioletniego. Wiele dawnych robotników stolarskich w drodze awansu wysunętych zostało na stanowiska kierownicze, około 40 doszła do szczebla zawodowego, znaczny procent bierze aktywny udział w życiu społecznym zakładu i miasteczka. Gazetka ścienne pt. „Myśl stolarska” przynosi sporo interesującego materiału z życia spółdzielni.

Zasadnicze przeobrażenia w życiu stolarzy kalwaryjskich nie zamkają w całości obrazu nowej Kalwarii.

Dopelniają go dziś osiągnięcia wielkiej Rzemieślniczej Spółdzielni Szewców i Cholewkarzy, jednoczącej około 600 drobnych majstrów-chłopników i robotników szewskich, upowszechnienie szkolnictwa zawodowego i ogólnokształcącego, likwidacja dóbr martwej ręki i utworzenie zespołu Państw. Gospodarstw Rolnych.

Mówiąc o Kalwarii niesposób nie wspomnieć o założonej tu przed laty szkole stolarskiej, przekształconej dziś na Państwowe Liceum Przemysłu Drzewnego. Szkoła ta sponosi nowe kwalifikowane kadry nie tylko na użytek miejscowy, ale również dla innych ośrodków. Liczy 94 uczniów. Pochodzą z różnych stron Polski, ze wsi, z szeregów biedoty wiejskiej. Znajdujemy wśród nich kilka sierot bez ojca i matki, skierowanych tu przez Dom Dziecka w Krzeszowicach. Korzystają z internatu, zbiorowego wyżywienia i z licznych stypendiów. Uczą się pnie i rzetelnie przykładają się do pracy w warsztatach szkolnych. Są dumni z tego, że wytwórczość ich warsztatów objęta jest Planem Sześcioletnim. Biorą udział we współzawodnictwie pracy, w pracach świetlicowych. Cieszą się, że plan produkcyjny na rok 1951 już w dniu 15 grudnia mieli poza sobą. W wolnych od pracy chwilach z zapalem uprawiają sport lotniczy. We własnej modelarni wytwarzają w godzinach wolnych od nauki i pracy małe precyzyjne samoloty o rapędzie mechanicznym, zdolne do lotu na odległość do 10 kilometrów. Wytwarzają również modele okretów, planują produkcję nowych, artystycznych zabawek...

Również w najbliższej okolicy górąjącej nad okolicą klasztoru wiele się zmieniło. Doroczny odpust w sierpniu ub. roku stał się równocześnie wielką manifestacją na rzecz pokoju, zorganizowaną przez księży-patriotów, członków Zw. Bojowników o Wolność i Demokrację...

W rozległym ogrodzie przyklasztornym i obszernej zabudowie folwarcznej gospodarują nowi ludzie, Brygadier Kosowski troskliwie dogląda pomnażającego się dobytku i cieszy się widokiem zieniejących w oddali zbóż ozimych. Poniżej, u stóp klasztoru toczy się nowe życie. Na drodze między miastem a stacją kolejową mijają się coraz więcej wozów wywozowych meblami przeznaczonych dla ludzi pracy. Targi kalwaryjskie cieszą się coraz większym zainteresowaniem w swoich i w okolicy. Spora gromadka słonożnych wiejskich wczesnym rankiem z naręczami gazet wychodzi na obchód okolicznych wsi i przysiółków. Dom Książki i Biblioteka Miejska nie mogą narzekać na brak klientów. W ciepłe, pogodne dni chłopcy z Państwowej Szkoły Stolarskiej puszczają się wzgór przyklasztorny zgrabne, malenkiste samoloty i z zapartym oddechem śledzą ich dalekie loty... Władysław Błachut

TADEUSZ PAPIER

WYPRAWA W TEREN



POCIĄGI w stronę Kociszewa odchodziły o 7 rano i 9.30. Siódma rano! Nieco za wcześnie. Zadecydowali jechać tym drugim. W „teren”, w „teren” po „materiał”. W komitecie wojewódzkim wskazywano kilka innych miejscowości, ale te były daleko i na uboczu, Kociszew zaś leżał na mapie tuż przy kolei, więc kryła się pośród lasów, przepływała rzeczka, odcyfrowali, że Bzurka.

Nie upłynęła godzina, a już wysiadali na przystanku w Kociszewie. Był lekki mroź. Obydwaj terenowcy drogę od przystanku do wsi przebyli biegiem. Wyminęli zagajnik i oto otwarł się widok na wies. Na pierwszym planie rzeczywistość rzeczka, na pewno ta Bzurka, przy wejściu do wsi młyn. Na zabitym kole sople lodu. Niższy z badaczy powiedział: „stoi”. Zrobił przy tym taką minę, jakby odgadywał, że tym fakcie wielki i groźny konflikt. Zbliżyli się do młyna. Przytykał do niego pietrowy, drewniany budynek, na którym wisiał szyld: „Gminna Spółdzielnia...”, a niżej napis: „Skup żywności i strzałka wskazująca kierunek, w jakim dwu żywcie należy odprowadzać. Przy pomocy stała chuda, czerwona krowa. Nasi bohaterowie obejrżeli krowę, młyn, zażyczyli do tytu i jakoś nie zdecydowanie spojrzeli po sobie. Wtedy niższy, który w terenie przejął inicjatywę, powiedział stanowczo: „Trzeba napierw do gminy. Musimy się zorientować”.

Gmina znajdowała się w pobliżu. W przedsiönku, wycierając buty, wyższy sępnął: „Ty będziesz mówił!”. W zadymionej izbie kilku chłopów załatwiczo sprawy. Nasi przybyście stali chwile niezdeterminowani. Z tego stanu wyrwał ich głos urzędnika: „A co tam?”. „No, napierw to dzień dobry!” — niższy uśmiechnął się, chciał wypowiedzieć do zdania jawnie i dowcipnie. Był przekonany, że mu się udało. „Jesteśmy literatami i chcielibyśmy pomówić...”. „To tam?” — urzędnik wskazał im drzwi, na których wisiała tabliczka: „Przejdźcie gminnej rady narodowej”. Nasi bohaterowie weszli już śmiało.

Wejście ich pozostało niezauważone. Jakis stary chłop, ożdobiony szerokimi wąsami gorąco gestykulował i jeszcze goręcej przedmawiał do dwóch pozostałych. Nasi bohaterowie domyślili się, że ci dwaj to przewodniczący GRN i sekretarz. Pierwsze wrażenie było korzystne. Tuwarze przewodniczącego i sekretarza budziły zaufanie. Literaci określili je jako „typowo chłopskie”. Młodszy z nich może miał 35 lat, wyglądał nawet młodziej. Chłop nazywał go co trochę „panem przewodniczącym”. Wymawiał tytuł z namaszczeniem. Literaci natychmiast zaszeregowali przewodniczącego: Chłop nagle przerwał swoją przemowę i spojrzal obco na naszych gości. Wówczas niższy wyrecytował formułkę: „Jesteśmy literatami, chcielibyśmy zebrać z waszej gminy, właściwie z waszej wsi, materiał do opowiadań i reportaży literackich. Najpierw takie „ogólne” dane o wsi, później dogadamy się, co do szczegółów”.

Przewodniczący wskazał na sekretarza:

— To może by wy.
Sekretarz skinął głową.
— Jeżeli wam przeszkadzały w pracy... — zaczął wyższy literat.

— Na wszystko musi być czas.

Nasi bohaterowie wzięli notesy i pióra.

— Gromada Kociszew, jakby tu powiedzieć, składa się z kilku części... — Przysiółki — odpowiedział skwapliwie jeden z literatów.

— No, nie bardzo, z kilku części — upewnił sekretarz. Począł wyliczać na palcach: Pustkowa Góra, Mamiń, Racibórz...

— Ile gospodarstw, ile ziemi, ornego, łąk, pastwisk?

Sekretarz zerwał się szybko po wykazy i książki. Wrócił i zaczął dyktować. Podsuwał wykazy.

— Przepiszcie sobie.

Chłop, który dotąd pilnie obserwował naszych bohaterów, uznał, że czas podjąć znowu swoją sprawę.

— Proszę pana przewodniczącego, to co ja mam z tym zrobić. Ziemię mam rozpisaną na syna, a siostry nie chce mi wydać kwiu.

— Rejentalny podział?

Chłop się zastanowił.

— No nie! Umowa dobrowolna.

— Jeśli nie rejentalnie, to siostry ma rację.

— Ale dobrowolnie i w zeszłym roku syn już płacił podatki...

Wzrok chłopca wyrażał i prośbę i skargę zarazem.

— Ostatecznie... siostry... może wydać kwit na syna, ale z dopiskiem, że syn wpłaca z waszej gospodarki.

Chłop wyjął wargi.

— A to proszę pana przewodniczącego, jeżeli ja mam na utrzymaniu siostrę chorą od urodzenia, kobieta ma już 60 lat, trzeba jej dać i pożywienie i opiekę, na dwóch sama nie wyżyje, to żadna ulga mi się nie należy?

— Napiszcie do Wydziału Skarbowego. Płacicie przecież FOR?

Chłop popatrzył jakiś dziwnie na przewodniczącego. Nasi bohaterowie już od dawna przetrwali swoje zapi-

Gazetka gminna

Organista

Ze z maturą?...

Napisał do naszej Gazetki organista z pow. lubartowskiego. Czuje się pokrzywdzony, wymierzono mu bowiem podatek, licząc za podstawę 450 zł miesięcznego dochodu, on zaś twierdzi, że miesięczny jego dochód w r. 1951 wynosił 250 zł.

Czymże świadczy się organista? Osobistymi zapiskami z pogrzebów, wesel i chrzcina. Bardziej obiektywnej metody nie uznaje. Nie wygodna. Bo co innego deklarować, co się wzięło w garść i do kieszeni (któż zajrzy i sprawdzi?), a co innego, kiedy się zacznie o błażać: parafia obejmuje cztery wsie, 2.000 dusz i... i tu urywa organista, a powinien podać liczbę pogrzebów, wesel i chrzcina za rok 51.

Wyleć! Ale mu z pamięci? Ale ta statystyka nie wyleciała z ksiąg Gminnej Rady Narodowej. Nie „z powierza” ustalono wymiar. Organista bez rzeczowych racji chciałby mieć zmniejszony podatek od dochodu, którego podstawą jakąż to jest praca?

„Do kościoła chodzę tylko grać w niedzielę i tyle wszystkiego”. Ta informacja nie bardzo przypadła do gustu księdzu plebanowi. Bo coż to za pracownik, który publicznie odsłaniając organizację pracy swojej instytucji dowodzi, że zakłada ona pracę lekką, krótką, rzadko wykonywaną a dobrze płatną. Coż to za pracownik, który za wrotami parafii daje do zrozumienia, że z działalności plebana nie ma prawie nic wspólnego. A zdradza! A niecnota! Ma ksiądz-pleban rację. Organista nie zapomniał wspomnieć o tym, że ksiądz-pleban

bierze z pogrzebów, wesel i chrzcina 75 proc. opłat, on zaś tylko 25 proc. A przecież robota w takich okazjach dla obu jednakowo lekka.

Wybaczyć mu jednak księże plebanie te grzechy, jeśli w sprawie najważniejszej nie uznacie go za zdradę i niecnotę. Organista broni wszak swego kościelnego dochodu. Broni więc w zasadzie wspólnego interesu. I w tym nie zdradza. Fatalnie broni — to prawda — ale broni. Powiada, że „do kościoła chodzi tylko grać w niedzielę i tyle wszystkiego”, powiada, że głównym źródłem jego utrzymania jest gospodarstwo (4 ha), ale z dochodu kościelnego nie chce stracić ani złotówki. Jak to być na wsie — na pogrzebie i weselu zobaczysz zawsze całą gromadę. Wszyscy oddają bezinteresownie ostatnią posługę, wszyscy z radością obchodzą przy ślubie nowe pary i nasz organista, gdyby organista nie był, chodziliby również na wesela, pogrzeby i chrzciny.

„Ale, że on bywa urzędowo... więc przez „przecież w Polsce Ludowej nikt nie może być pokrzywdzony”. Racja, w Polsce Ludowej nikt nie może być pokrzywdzony, ale oto pytanie: czy podatek (wymierzony wg ścisłych danych) krzywdzi organistę, który lekko zdobywa dochód? Czy też organista, łapczywie zgarniający opłaty za śluby, chrzciny i pogrzeby krzywdzi rodzinę chłopską, które przełomowe chwile swego życia muszą wciąż jeszcze opłacać średnio-wiecznym haraczem?

Jan Kurzoleka

Kochane moje babki!

Moi rodzice namawiają mnie, abym wyszła za mąż za sąsiada. Ale ja go wcale nie kocham i nawet nie szanuję. Odezwały się niedawno gospodarke po ojcu i na tym jeszcze ciepłym dziedziectwie ujadę pana. Ma 27 lat i gotowych 10 ha, 2 konie, 4 krowy i 8 świń. Dlatego właśnie rodzice chcą mnie za niego wyswatać. Wstyd mi za nich. Są małżonkami (4 ha), a pora byłaby biedniakom mieć swój klasowy honor. Partia na wsi na nas nie opiera. Mamy prawo do największej dumy, a tu się trafiają jeszcze, jak np. u moich rodziców, że biedniak polepszyć życie gotów za zdradę swej klasy.

Ale na szczęście nie w całej naszej rodzinie jest tak źle.

Moja babka i matka babki (prababka) innego są zdania. Mieszkają na końcu wsi na własnych „wymownych” dwóch i pół hektarach. Obie babki sprzyjały mojej miłości, tym bardziej, że chłopak, którego kocham mieszka u nich, więc go dobrze znają. Jest on sierotą, ma 24 lata i poza palcami u rąk nie więcej. Pracuje w tartaku.

Toczy się więc wojna w rodzinie. Matka i ojciec nie chcą nawet słuchać o tym „trociniarzu”. Babki zaś powiada, abym sprowadziła się na ich gospodarke, jak na swoje wiano, one też mi zastąpią rodziców przy ślubie.

Ja mam jeszcze inną myśl. Nie chcę wyjść za mąż za bogatego dla bogactwa, a chcę poślubić biednego, bo go kocham, ale wcale nie po to, żebyśmy biedowali.

Kiedy tak rozważam, matka mówi: „wyjdź za sąsiada, będziesz miała dobre”. A ja teraz mówię: „wyjdź za „trocinarza” i pojedziemy do spółdzielni produkcyjnej. I chciała-bym się dowiedzieć, gdzie na Ziemiach Odzyskanych mogliby przybyć przyłączyć się do zakładanej spółdzielni produkcyjnej? Zabrakłabyśmy babki. Ale babki znowu mówią tak: w ostateczności pojedziemy z wami, nie lepiej byłoby jednak, żebyście tutaj na Mazowszu, w naszym Magnuszewie założyli spółdzielnię produkcyjną?

Mam 19 lat, tzn. mało jeszcze wiedzy i doświadczenia, ale dużo energii i zapału, aby dobrą myśl babek wcielić w czyn. Janina.

Z pracy do nauki

„Gdy zwróciłem się do naszego Zarządu PGR o skierowanie mnie do szkoły rolniczej, to mi odmówili, bo powiedział Zarząd, że brak ludzi do pracy. Nie rozumiem tego, czy w Polsce Ludowej trzeba tylko pracować a uczyć się nie można?” (woj. olsztyński).

Chłopak ma 19 lat, jest stałym pracownikiem PGR-u. Ukończył 6 klas szkoły powszechnej oraz 300 godzinny kurs dokształcający. Po pracy chciał i potrafił się uczyć. Energię młodzieńcza nie rozpylił na się w pijatykach, kawalerce i drzemaniu za piecem.

Chłopak chciałby się dalej uczyć w Szkole Rolniczej, praktykę pogłębić wiedzą. Ale startuje z określonych pozycji. I o tem zapomina. Jest pracownikiem w socjalistycznym gospodarstwie. Nieuważając PGR-ji powinni wysuwać do szkół i na kursy zdolnych i wyróżniających się pracowników. Otóż pierwsze pytanie. Czy nasz chłopak do takich wyróżniających się należy? Nie wiemy. W liście nie określił nawet zakresu swej pracy, nie opisał gospodarki PGR-u, nie wskazał gałęzi rolnictwa, jaka go interesuje. Nie napomknął na słowo o tym, czy w

PGR-ze prowadzi się jakieś szkolenie rolnicze, jakąś wymianę doświadczeń, czy on zabiega o takie naraż, czy inicjował je?

Drugie pytanie. Czy z awansu społecznego po wyższą wiedzę idzie się dowolnie, kiedy się chce? Decydują o tym z jednej strony zdolności i osiągnięcia kandydata, z drugiej warunki pracy. PGR może mieć trudności w pracy i szluzie proponować inny, bardziej odległy termin. Z listu chłopaka wynika, że było tu trochę inaczej: „Ja czytałem, że do szkół rolniczych mogą iść pracownicy PGR-ów a mnie nie puścili”.

Ale z listu wynika również, że chłopak przypomina kota, który chadza swoimi ścieżkami.

Chcę do dalszej nauki odrywać go od socjalistycznego gospodarstwa, zamiast zacieśnić związek i wysunąć go na czoło kolektywu.

Jemu idzie o to, żeby go „puścić”, a przecież winno mu iść o to, aby go wysłać! Coż zostało z wieczorowego kursu, coż zostało z doświadczeń socjalistycznej pracy w PGR-ze, jeśli chłopak do szkoły rolniczej myśli dostać się w roli „ZBIEGA” a nie DELEGATA? Gdyby wyrzucił szczegółowy akt oskarżenia przeciw zarządowi, pomyślelibyśmy, bije się o socjalistyczne wychowanie kolektywu, o rozwój kadr, o ich właściwe zastawienie i użycie, o plan pracy i jej racjonalizację. Na takim tle sprawa Szkoły Rolniczej i dla nas i dla niego miałaby konkretność przypadku, w którego granicach można i trzeba dojść do szluznego rozwiązania.

I tak trzeba stawiać sprawę nauki i awansu. Stefan Bak

Wróciłem z terenu. Pytano mnie o to, o tamto, na koniec o szczegóły z osobistego życia ludzi na wsi. O jakiś znamienity szczegół. Odpowiedziałem.

Dom małorolnych. Ojciec i matka starzy oboje. Syn, jednak ma 23 lata, prowadzi gospodarke i opiekuje się starymi. Kocha ich, to jedna jego miłość, bo jest i druga. Przed rokiem poznał w sąsiedniej wsi dziewczynę. Nazywa ją narzeczoną. Nie ma u nich ani cienia myśli o rozstaniu. Ale...

Rozmawialiśmy w styczniowy wieczór. Nad stołem płonąła elektryczna lampa, na stole piętrzyło się kilkanaście książek i historia i powieści i agrobiologia i klasycy marksizmu.

— Wszystko na raz? — spytałem.

— Wszystko na raz i dlatego z tego nie nic wyjdzie — odpowiedział. A potem powiedział resztę. Dziewczyna ma 17 lat, jest w szkole, w 1953 r. skończy dużą maturę. I co będzie? On ma tylko 7 oddziałów i z gospodarki zejść nie może. Rodzice starzy i słabi nie dadzą sami rady.

— I co będzie? — powtórzyłem jak echo.

Co wieczór w tej zimowej porze przemysła nad przyszłością, nad czasem, który mu porywa narzeczoną. Na kurs dla dorosłych? I o tym myślał. Dojeżdżałby na wieczorny kurs. Ale najbliższy za daleko, 80 km.

— Chyba zwolnie ze słowa moją narzeczoną, bo szkoda mi ją zmarnować...

*

Macie szczegół. Pomyślcie nad nim. Znam osobiste małżeństwo, w którym ona jest nauczycielką, on traktorzysta POM-u. Pomyślcie, jak spółdzielnie produkcyjne rozwiążą i te przejściowe konflikty wzrostu.

Jan Rosiński.

GDZIE PREZES?...

W Niechychkach, prezes GS-u. Mnóstwo ma interesów. Codziennie prezes w terenie. W C. U. S. i K-u.

I GRN-ie. W Z. S. Ch. a. W. P. Z. G. S. i e.

I — licho wie. Gdzie go nieście! Kłnie, na czym świat stoi. Młota, Pomsłaja: Kłuka i Dziegiel. „Gdzie dla hodowców jest śruta, I kłdy dacie nam węgier!” A w biurze siedzi zastępca. Zastępca ręce rozkłada.

„Ja sam — nie! — tu tylko prezes... Niech prezes sprawę tę zbada!... Działaj go nie ma, niestety! Erzed chwilą właśnie wyjechał. Deka?”

Na fili kontrolę:

Do Piwna. Do Krzywna. Do Piechal.

„A kiedy będzie tu, w biurze?” „We wtorek... może w środę...” Zadumał się potem głęboko I długo drapał się w brodzie... „Zapłaćcie za mleka odstawa! — Na cale grzmi biuro Puśtrunko — Już jedzą i jedzą z pół roku. I dokąd tak jedzą mam w kółko?” Zastępca się ocinał z zadumy. Zastępca ręce rozkłada:

„Ja sam — nie! — tu tylko prezes... Niech prezes sprawę tę zbada. Dziś, nie ma prezesa, niestety! Właśnie przed chwilą wyjechał. Deka?”

Na fili kontrolę:

Do Piwna. Do Krzywna. Do Piechal.

„A kiedy będzie tu, w biurze?” „We wtorek... może w środę...” Znowu дума — дума... zastępca. I długo... drapie się w brodzie... Złorzecze, gwałtuje Rosłoń O pieniądzu — za len, za rzepak: „Drogi tum do was wydepłat. Kwartał już czekam i czekam!” Zastępca bardzo zmarniwiony. Zastępca ręce rozkłada:

„Ja sam — nie! — tu tylko prezes... Niech prezes sprawę tę zbada! Miestety, nie ma prezesa — Właśnie przed chwilą wyjechał. Deka?”

Na fili kontrolę:

Do Piwna. Do Krzywna. Do Piechal.

Łecz wiedzą „włajemniczeni”, Gdzie można znaleźć prezesa: W Ludowej siedzli Gospodzie — „Obraha” tam „interesa”. Dwie „ewiarki” destanie, to sprawę Prezes od ręki ubija. Ta jedna ewiarka dla „sitwy”, Druga z klientem wypija. Przychodzi Zarząd GS-u. Gdy koniec urzędowania, Summennie ewiarki wyszczą. Wychodzi — na nogach się ślania...

Jak pórur spadła inspekcja Na G.S. z P.Z.G.S.-u, W następstwie czego, pan prezes, Ma znacznie mniej interesów.

Irena Mzurkiewicz

STEFAN WALICKI

Falszywa diagnoza — falszywe lekarstwo

Przy uważnym, wnikliwym czytaniu listów terenowych nadysłanych do redakcji, wychodzą na jaw, często zgola nieoczekiwane, różne niedostatki naszej pracy terenowej, różne braki w świadomości i postawie naszych nowych kadr.

Jest np. faktem powszechnie stwierdzanym (i dotkliwe w postaci trudności aprowizacyjnych przez nas wszystkich odczuwanym) — opóźnianie się rozwoju naszego rolnictwa w stosunku do rozwoju naszego przemysłu.

O wiele mniej natomiast wie się o tym, z jakich przyczyn w woj. rzeszowskim, jakie są tego przyczyny i jakie środki zaradcze.

Tak moglibyśmy sądzić z projektu złożonego przez ob. M., urzędnika gminnej spółdzielni Samopomoc Chłopską w C., projektu popartego (o zgrozo!) przez władze gminne ZSCh i Miejską Radę Narodową, a odrzuconego (słusznie!) przez Prezydium PRN w Lubaczowie.

O coż w tym projekcie chodzi? Ob. M. GŁOWNĄ przyczyną opóźniania się naszego rolnictwa i niedostatecznego wzrostu JEGO produkcji towarowej widzi w tym, że „pomimo iż warunki do produkcji rolnej w tutejszej okolicy są dobre, nasze rolnictwo indywidualnie prowadzone na dziko nie daje dużo swojej produkcji na rynek, a to z powodu braku przygotowania fachowego i nie daje nawet 50 proc. tego, co mogłoby dać”.

Próby wytłumaczenia chłopom właściwych sposobów produkcji podejmowane przez ob. M. natrafiały dotychczas na zupełny jałowy grunt. „Nie mogę znaleźć zrozumienia, bo odpowiadają mi, że ja tak mówię, bo mi za to płacę... może dlatego, że pracuję jako urzędnik, a rolnictwa tu nie prowadzi”.

Dlatego ob. M. swoim wąpięciem rozmówcom i sąsiadom postanowił pokazać, jak trzeba prowadzić gospodarstwo rolne, zdecydował się na porzucenie pracy urzędniczej w GS i na założenie wzorowego gospodarstwa rolnego na 5 ha okolicznych odłogów.

W samym tym pomysłcie nie ma nic złego, wolność wyboru zawodu nareszcie dopiero w Polsce Ludowej stała się faktem, nikt by nie stawiał przeszkód dawnemu urzędnikowi, jeśli chce i umie poprowadzić gospodarstwo rolne. Jest jeszcze np. niewielka już, ale jeszcze pewna ilość gospodarstw rolnych do obsadzenia np. w olsztyńskim i państwowo chętnie tym nowym osadnikom pomaga, uzupełniając ich środki własne, do poziomu umożliwiającego przywrócenie gospodarstwu rolnemu jego pełnej zdolności produkcyjnej.

Ale ob. M. postąpił inaczej. Zwrócił się do swej Powiatowej Rady Narodowej z prośbą o całkowite sfinansowanie, przy pomocy trzyletniej pożyczki, budowy pokazowego, wzorowego gospodarstwa w szerszym polu.

Przedstawił więc plan nakładów inwestycyjnych, w którym jest mie-

STANISŁAW KLIMEK

dziesiątymi budowa stajni, obór, kurników, chlewów, plotu siatkowego za 2.500 zł. dla ogrodzenia wybiegu dla kur, kupno 4-eh krów, jednego konia, jednego wozu, 350 sztuk kurcząt, materiału siewnego (zapominając zresztą np. o paszy na wyżywienie inwentarza do chwili nowych zbiorów), itp., obliczył to wszystko na ok. 19 tysięcy zł. Obliczył dalej, że gospodarstwo to da mu produkcję towarową już w drugim roku: 2.250 kg. jaj, 10 bekoni i 12 tys. litrów mleka od 4-eh krów, a więc produkcję wartości ponad 40 tys. zł.

I nie rozumiem do dziś dnia, dlaczego tak prosty i opłacalny pomysł poparty w dodatku przez gminne czynniki społeczne i polityczne spotkał się z tak kategoryczną odprawą w Pow. Radzie Narodowej.

„Nie mam tutaj chęci wzbogacenia się — pisze — chciałem się stać jedynie przodownikiem pracy, zdobyć w ten sposób zaufanie rolników i dać im dobry przykład”.

Cała Wasza ob. M. kalkulacja jest ekonomicznie i społecznie najzupełniej fałszywa. Nie można przecież zestawiać z sobą: nakładów inwestycyjnych z produkcją brutto. A gdzież koszty materialne tej produkcji (wyżywienie konia, który zje wam zbiory z połowy gospodarstwa, wyżywienie krów, itp.)?

Gdzież utrzymanie Wasze i Waszej rodziny, należne za wkładaną pracę, jeśli sami rzeczywiście mieliscie zamiar pracować na tym gospodarstwie, gdzie amortyzacja budynków, inwentarza żywego i martwego, zasiewów? Rzadko kiedy koszty materialne produkcji rolnej w gospodarstwie drobnotowarowym spadają poniżej 40 proc. (w r. 1947 wynosiły np. przeciętnie w całej Polsce 42 proc.) wartości produkcji globalnej (brutto).

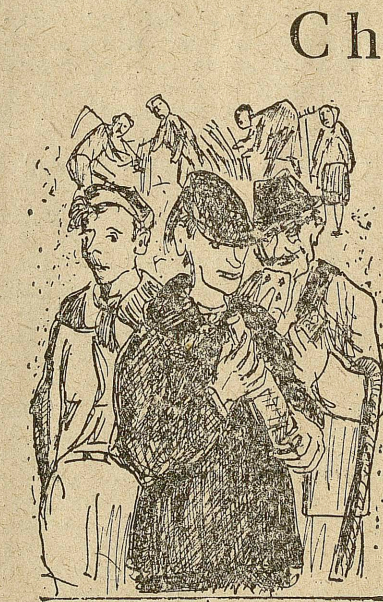
To nam m. in. tłumaczy fakt, dlaczego towarowa produkcja drobnych i średnich gospodarstw chłopskich stanowi przeciętnie nie więcej niż ok. 12 proc. ich produkcji globalnej.

Ale dajmy spokój tym rozważaniom ekonomicznym, kierowały Wami pobudki społeczne, na nich więc skoncentrujemy naszą rozmowę.

Mamy w Polsce ok. 3 miliony drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, drobnotowarowych, ich charakter utrudnia stały i szybki wzrost ich produkcji i jest przyczyną ogromnie wysokich kosztów produkcji. Gospodarstwa te z istotą swojej są niezdolne do wysokiej towarowości. I to przede wszystkim, a nie tylko słaby poziom wiedzy rolniczej jest GŁOWNĄ przyczyną niegospodarności naszego rolnictwa z rozwojem socjalistycznego przemysłu.

Za 20 tys. zł. ob. M. możemy mieć 10 tys. popularnych broszur rolniczych, możemy zorganizować wycieczkę jednodniową 1.000 chłopów do dobrej spółdzielni produkcyjnej, możemy dać premię za dobre wyniki w hodowli co najmniej 800 drobnym i średnim rolnikom itp. A ilu rolników będzie mogło poznać się z Waszym nawet wzorowym gospodarstwem?

Chuligan wiejski



stycznych dotyczących stylu życia chuligana wiejskiego. Pierwszą stwierdzoną cechą chuligana, jaką podają wszyscy korespondenci, jest, że chuligan NIE PRACUJE lub ZŁE PRACUJE. Oto ob. Steć Feliksa u budowa, rolnicza z Dębicy pow. Lubartów skarży się, że „je 15-letni syn „nie robić nie chce”. Oto czytelniczki „Gromady” z olsztyńskiego skarżą się na swych mężów pijaków i awanturników, którzy wkładają na ich barki ciężar utrzymania domu i dzieci. Chuligan nie znośi własnego domu. Traktuje go tylko jako legowisko i żerowisko, gdzie odpoczywa i posila się po swych awanturnach.

Chuligan PIJE WÓDKĘ. W każdym niemal wypadku chuliganstwa paliwem napędzonym jest wódka. Można powiedzieć, że chuliganstwo zaczyna się od nadużywania alkoholu.

Nie zaobserwowano dotychczas typu chuligana samotnego czyli solitera. Chuligan żyje GROMADNIE. Na tym też polega jego szczególne szkodliwość. Dlatego chuliganeria jest zjawiskiem wysoce niebezpiecznym, bo to jest zjawisko społeczne, ściślej, choroba społeczna. Bywają rodziny chuligańskie. Zwykle jednak chuligani kompanów dobierają sobie z poza domu względnie z dalszej rodziny. Szesnastoletni Steć z Dębicy w pow. lubartowskim znalazł np. patrona w stryju Stasiu Stanisławie, u którego po całych nocach gra w karty. Gorzej, gdy chuligani za miejsce swych wycieczek biorą urząd czy instytucję, jak to miało miejsce w biurach Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Ryńsku, pow. Wębrzesko, gdzie, jak pisał korespondent, „nie można iść wieczorem coś kupić do spółdzielni, bo pijacy czepiają się”. W biurach tej spółdzielni urządzane są pijatki. Szczególnie dala się we znaki jedna z nich, urządzona 14 stycznia br. Trwała ona od godziny 11 rano do późnej nocy. Kiedy bowiem kierownik spółdzielni usunął wreszcie pijaków z biura, przeniesł się oni do gospody ludowej, gdzie, jak pisał korespondent, „odegnęli cyrk bezplatny”. Pokaz zakończyła oświadczka krawca bijatki.

Wymienione wyżej typy chuliganów rodzinne i „biurowe” rzecz jasna nie wyczerpują kolekcji. Szczególnie niebezpiecznym jest typ

Ani stworzenie kosztem ogromnych nakładów jednego wozowego średniorolnego gospodarstwa, ani stworzenie takich gospodarstw nawet stu tysięcy, ani nawet przyznanie wszystkim drobnym i średnim gospodarstwom chłopskim na ich umococnienie dodatkowych pożyczek inwestycyjnych w wysokości od 10 — 20 tys. zł. (bo oni za Waszym przykładem też chcieliby mieć po 4 krowy i po 350 kur), a więc wydatkowanie sumy ok. 45 miliardów zł., nie podniesie w tym stopniu, jaki nam jest potrzebny towarowości tych gospodarstw, nawet w wypadku, gdybyśmy nie mieli kłopotu z dostarczeniem tym gospodarstwom za 45 miliardów: koni, krów, materiałów budowlanych, ziarna siewnego itp.

Całkowite wyrównanie opóźniania się naszego rolnictwa może nastąpić jedynie w warunkach upowszechnienia socjalistycznej gospodarki w rolnictwie, a więc takiej gospodarki, która ma możliwości stałego i szybkiego podnoszenia: plonów z ha i wydajności produkcji zwierzęcej, przy jednoczesnym obniżaniu jej kosztów i posiada możliwości ogromnego zwiększenia z roku na rok w ten sposób i towarowej produkcji rolnej.

Czy to znaczy, że troszcząc się o dalszy rozwój spółdzielczości produkcyjnej, wolno nam zaniedbać sprawę otaczania opieką i pomocą drobnych i średnich gospodarstw chłopskich? Nie troszczyć się o ich potrzeby inwestycyjne? Pomijać milczeniem sprawę podniesienia rzeczywiście jeszcze dość niskiego poziomu wiedzy rolniczej wśród pracujących chłopów?

Rzecz jasna, że nie. I dlatego właśnie na inwestycje w rolnictwie wydaliśmy w r. 1951 ogromną sumę ponad 2,5 miliardów zł., dlatego do podnoszenia wiedzy rolniczej rząd i partia przywiązują tak ogromną wagę, czego wyrazem jest m. in. niedawna, doniosła uchwała Prezydium Rządu o upowszechnieniu wiedzy rolniczej.

Ale chodzi o to, że nie wystarczy całą politykę gospodarczą zamknąć w granicach otaczania największą pomocą i opieką drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

Trzeba to robić w dalszym ciągu, ale trzeba RÓWNIEŻ zakładać coraz więcej spółdzielni produkcyjnych, podnosić produkcję i styl pracy PGR, jednym słowem umacniać i rozwijać socjalistyczną gospodarkę w rolnictwie, bo tylko jej zwycięstwo przyniesie nam całkowite rozwiązanie wszystkich trudności, wynikających z opóźnienia się rozwoju naszego rolnictwa w stosunku do naszego socjalistycznego przemysłu.

I dlatego PRN w Lubaczowie ścisnie odrzucił projekt ob. M. jako nie mający nic wspólnego ani z polityką otaczania opieką i pomocą państwa drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, ani z polityką popierania rozwoju spółdzielczości produkcyjnej — w myśl zasady, że „same gąbki nie leczą gąbki”.

Stefan Walicki.

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze więcej i miejsc przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 801-26 do 15.

Tel. Red. Nacz. 727-98, Tel. Redakcji 751-80, dom wewnętrzny 91, 93

REDAKCJA NIE ZAMOWIENIACH REKOPISÓW NIE ZWRACA

Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Kizyży 18, Chmielna 25.

W a r u n k i p r e n u m e r a c y j:

miesięcznie 3,— zł.; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,—; rocznie 36,—; za należność za prenumeratę należy wpłacić na konto PKO Warszawa I-6312, 110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wileś”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-11506